Dotknięcie blizny. „Ciotka Hitlera” Michała Rogalskiego.

Fot., materiały prasowe

Piątek, 5 listopada, 9.30 pm

1h 20 min., dramat, II wojna światowa, 2021 r.

Reżyseria: Michał Rogalski
Scenariusz: Wojciech Tomczyk
Zdjęcia: Maciej Lisiecki
Muzyka: Piotr Komorowski

Obsada: Piotr Kaźmierczak, Marta Ścisłowicz, Małgorzata Pyziak, Sebastian Pawlak, Michał Pietruś, Kuba Guszkowski, Joanna Gonschorek.

Leon wraz z synami pracuje nad Wisłą, dostarczając warszawiakom żwir i piasek. Pewnego dnia ratuje tonącą i jej córkę – żydowskie uciekinierki z Warszawy, które nie mogły się już dłużej ukrywać. Leon postanawia pomóc. Daje im schronienie w swoim domu, ryzykując życie swoje i swojej rodziny.

Michał Rogalski

„Dotknięcie blizny" – perspektywa reżysera

„Holokaust jest często postrzegany jako rana. Blizna. Świadomie i podświadomie dotykamy go, aby zobaczyć, czy nadal tam jest. I choć lata mijają, blizna nie znika. Powinniśmy porozmawiać o naszych bliznach. Nie powinniśmy mieć nadziei, że znikną. Definiują nas blizny. Opowiadają naszą historię, pokazują skąd pochodzimy. Holokaust to nasza blizna. Blizna ludzi, Europejczyków, Polaków i Żydów.

Zadajemy pytania. Jak to mogło się stać? Czemu? Czy można było zrobić coś inaczej, może lepiej? Co byśmy zrobili w obliczu tamtych czasów? Z biegiem czasu nasze odpowiedzi zmieniają się, podobnie jak my. Zyskujemy nową perspektywę. Żadne odpowiedzi nie są takie same. Perspektywa szesnastolatka różni się od perspektywy osoby dojrzałej, która ma własną rodzinę, kogoś, kto nie zna realiów lat 40., czyta tylko książki i pamiętniki o tamtych czasach. Bez względu na odpowiedź, rzeczywistość tego, co się naprawdę wydarzyło, nie ulegnie zmianie. Niemniej jednak powinniśmy zadawać pytania i uzyskiwać odpowiedzi w kółko, aby nie zapomnieć blizny, która uświadomiła nam, kim jesteśmy i do czego jesteśmy zdolni.

„Ciotka Hitlera" to mój kolejny film o Holokauście. Sonduję bliznę. Zadaję pytania. To znowu opowieść o zwykłych ludziach w niezwykłych czasach i próba odpowiedzi na pytanie: „Jak to jest, że kiedy większość odwraca wzrok, inni ryzykują wszystko, aby pozostać przyzwoitym?" W opowieści Leona nie chodzi o bohaterstwo. To opowieść o zwykłej przyzwoitości, o ludziach, którzy mają różne perspektywy i szanse życiowe, ze względu na różne pochodzenie. „Nie zginiemy na ulicy za ciemne oczy" – mówi Leon do znajomego Polaka. Ten cytat podsumowuje różnicę między losem Polaków i Żydów w czasie wojny – pokazuje w charakterystyczny sposób różnicę między życiem a śmiercią.

Scenografia „Ciotki Hitlera" nie jest przesadnie skomplikowana. To był świadomy

wybór, którego dokonaliśmy. Nie chcieliśmy, aby scenografia przesłoniła najważniejsze rzeczy i odebrała możliwość zadawania ważnych pytań.

Więcej informacji na stronie festiwalu: https://www.austinpolishfilm.com/

Powrót ojca z niewoli

Józef Wit Fabijański, jeniec stalagu IV G w Oschatz, nr 13694, fot. arch. autorki

Teresa Fabijańska-Żurawska *(Łańcut)*

Znowu urwał się kontakt z naszym ojcem, podobnie, jak to było na początku wojny. Codziennie wieczorem klękamy w jadalnym i modlimy się. Mama głośno odmawia litanię Loretańską do Matki Boskiej w intencji ojca by żył, by do nas wrócił. Wszystkie niedziele i święta chodziliśmy na mszę św. do kościoła św. Mikołaja, parafialnego i przyjmowaliśmy komunię św. w intencji powrotu naszego taty. Coraz częściej dręczyły mnie sny. Wyraźnie widziałam powracającego ojca, który mnie tulił mocno, czułam jego obecność i… budziłam się w środku nocy z rozpaczliwym płaczem.

Było nam coraz trudniej ze wszystkim. Był rok 1943. Niemcy zachowywali się nerwowo. Z Warszawy napływały same złe wieści. Aresztowany został mamy wuj Aleksander Andrzejkowicz. Mówiono o wywożeniu inteligencji polskiej do Oświęcimia. Jeszcze nikt nie wiedział u nas co to jest Auschwitz. Na głównych ulicach Hrubieszowa Niemcy zgarniali przypadkowych ludzi z łapanek, pakowali siłą do ciężarówek i wywozili na roboty do Rzeszy. Była to praca przymusowa, bardzo ciężka i pod nahajami. Dla młodych organizowali obozy pracy tzw. „junaki”. Co jakiś czas odbywał się komisyjny pobór i tylko choroba mogła uratować. Mama drżała zarówno o Elę, jak i o Witka. Ela wprawdzie pracowała legalnie w Polskim Czerwonym Krzyżu, ale każde wyjście na ulicę groziło łapanką, a te odbywały się znienacka i w godzinach, gdy ludzie wychodzili z pracy. W małym i słabo zabudowanym Hrubieszowie praktycznie nie było możliwości ucieczki toteż każdy szczęśliwie przeżyty dzień był dla nas cudem.

W zimie 1944 r. nasiliły się partyzanckie walki polsko-ukraińskie. Niemcy celowo podjudzali, aby odwrócić uwagę od siebie, bo już nie byli zwycięzcami. Złość, desperacja rodziła nienawiść tak wielką, że wzajemnie Polacy i Ukraińcy – wczoraj sąsiedzi i pobratymcy – teraz najwięksi wrogowie wyniszczali się do cna. Bestialskie mordy, tylko za przynależność narodową czy religijną, wyrzynanie się wzajemne, palenie całych wsi, osiągnęły szczyt w marcu. Nie było dnia bez łun od południa i wschodu, które rozświetlały niebo złowrogo i budziły lęk łącznie z pytaniem: kiedy nas podpalą? – Wiosna 1944 r. między Huczwą a Bugiem przyniosła spaloną ziemię, ruiny domów, zwęglone sady, zrujnowane gospodarstwa, zabite bydło. Wypędziła

resztki oszalałych bezdomnych ludzi. Do dzisiaj ślady tego horroru są widoczne. 1 tylko zadumać się wypada nad pięknymi opisami pióra znanego profesora, z pochodzenia hrubieszowianina – Wiktora Zina:

> *Była taka wieś nad Bugiem, piękna jak kolorowy, dobry sen. Były tam rozstawione w rytmie i porządku chałupy kryte strzechami. (…) Przed każdą zagrodą stała kapliczka pośród liliowych bzów lub biało kwitnącej kaliny. Każde podwórze nakrywał parasol dorodnego drzewa, lipu lub jesionu (…). Żyli tam ludzie w trudzie, ale i w dostojeństwie, które daje modlitwa i praca. (…) Bratobójcze walki sprawiły, że z tego miejsca pamiętającego odwieczny rytm życia wielu pokoleń, pozostały ledwie kikuty kominów, zarośnięte ścieżki i kępy niedopalonych krzewów. Wyrąbano nawet krzyże, wdeptano w ziemię kapliczki. (Wiktor Zin, Opowieści o polskich kapliczkach, Ossolineum 1995).*

***

Koniec listopada 1944 r. i „andrzejkowe" wróżby. Lejemy wosk do miednicy z zimną wodą. Wszyscy przejęci, skupieni. Kolejno każdy wylewa swój los. Na białej ścianie odczytujemy z cienia co wyszło. Nie jest to proste. Figurą woskową trzeba kręcić we wszystkie strony i najczęściej nic nie wychodzi. Namówiliśmy mamę, żeby spróbowała. Teraz z powagą, w ciszy przyglądamy się bezkształtnej masie. Obracamy w palcach ostrożnie, żeby nie połamać miękkiego wosku i… oto wychodzi nam sylwetka mężczyzny nieco przygarbionego, z plecakiem na plecach, w wysokich butach i w czapeczce z małym daszkiem. Wyrazista i nad podziw czytelna. Nie do wiary! – Mama śmieje się i mówi: „któż to???" – Zapanowała głęboka cisza, ale po chwili byliśmy rozbawieni wszyscy. Sypały się dowcipy moich braci, zwłaszcza uszczypliwe na temat mojej przyszłości matrymonialnej. Miał to być fircyk – korniszon. Nigdy tego zestawienia słów nie zrozumiałam. A czy to się spełniło – opowiem później.

***

Mimo terroru i niebezpieczeństwa w Hrubieszowie powstały tajne komplety nauczania średniego. Dużo młodzieży uczyło się, a nauczycielami byli przedwojenni profesorowie gimnazjalni. Już w 1943 roku zaczęła działać Armia Krajowa. Witek

ubrał się w ojcowski, peowiacki mundur polowy: spraną bluzę, sznurowane spodnie, włożył furażerkę i poszedł do lasu.

Przysięga żołnierzy – akowców odbyła się 25 września 1943 r. w Hrubieszowie, oczywiście w konspiracji. Przyjmował Kazimierz Stachowiak pseudonim „Ludwik". Dowódcą zgrupowania AK Obwodu Hrubieszowskiego był wówczas Marian Gołębiewski, pseudonim "Korab". Te wiadomości otrzymałam od brata już w latach 90. XX w.

Któregoś dnia Witek przyszedł w biały dzień do domu, od strony lasu Bohorodycy i łąk, z bagnetem za pasem, jak gdyby nigdy nic. Przyszedł pokazać się, że żyje i pewnie zjeść, chociaż nie bardzo było co. Jedliśmy wtedy na okrągło zacierkę, jeśli była mąka od Wacka Banaszkiewicza z Wiszniowa, placki na sodzie, latem kukurydzę i bób. Czasem kupowaliśmy od sąsiadów jabłka, wtedy była szarlotkowa uczta, ale te szarlotki były bez tłuszczu i bez cukru, z szarej, zanieczyszczonej mąki. Piło się herbatę z suszonych skórek z tychże jabłek, których charakterystyczny zapach unosił się zawsze w mieszkaniu. Lubiłam go i do dzisiaj miło się kojarzy.

Bez Witka czuliśmy się mniej bezpieczni. On nam zapewniał byt, zastępował w jakimś sensie Ojca, był naszym opiekunem. Zawsze coś zdobył: mleko, mąkę, z której sam upiekł chleb u sąsiadów w dużym piecu chlebowym i podpłomyki niezapomniane, bo były to placuszki płaskie, z ciasta chlebowego, które piekło się przy jeszcze żarzących węgielkach drzewnych, zanim chleb poszedł do pieca, dla wypróbowania czy odpowiednia jest jego temperatura. Były więc zawsze podpieczone i to był ich urok, niepowtarzalny zapach i jedyny smak. Łamało się ich okrągławy kształt i jadło ciepłe, kruche z masłem, o ile ono było. Wtedy smakowały najlepiej. Witek miał w 1944 roku osiemnaście lat, jak w tej piosence partyzanckiej o sercu w plecaku, był chyba najmłodszym partyzantem w swoim oddziale. Bardzo martwiliśmy się o niego.

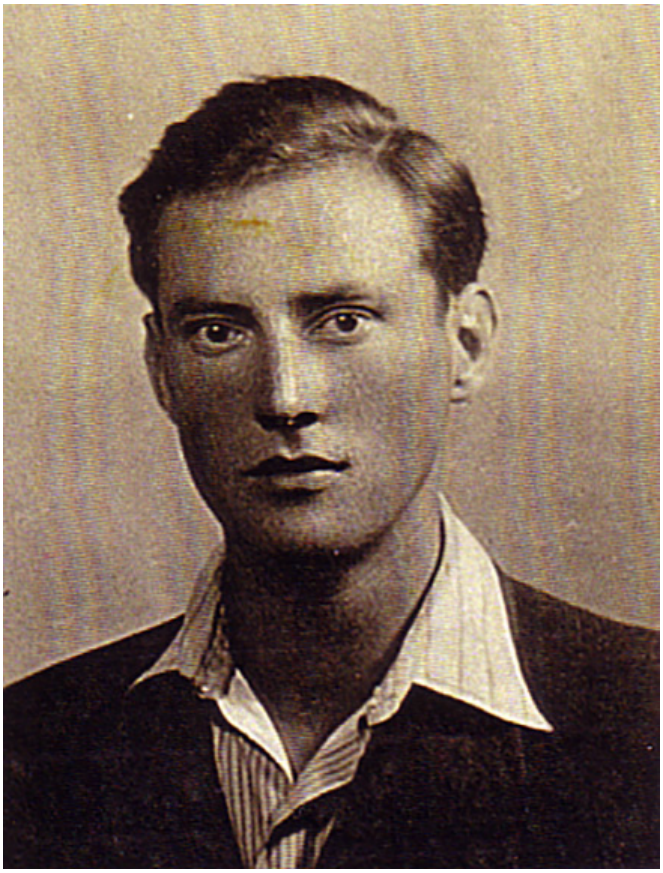

Mój najstarszy brat Wiktor Fabijański, ur. 31.01.1926 r. w Zamościu, od 1943 r. w Armii Krajowej, pseudonimy „Kaśka” i „Jeremi”, łącznik w Hrubieszowie, fot. arch. autorki

Tymczasem zbliżał się do nas front. Słychać było głuche pomruki dział sowieckich, ziemia jęczała. Robiło się coraz straszniej. Niemieccy żołnierze kopali rowy w podwórzach. Miały zdaje się służyć na działa przeciwlotnicze. Tymczasem posłużyły nam jako schronienie przed odłamkami w czasie bombardowań w lipcu 1944 roku.

Byliśmy już z Julkiem po szkole, lato było upalne, błękitne niebo, jaskrawe słońce i susza. Nie wiem, czy to Niemcy na odchodnem, czy Sowieci nacierając bombardowali tory kolejowe co parę metrów. Samoloty nadlatywały seriami, po kilka. Najpierw słyszało się głuche buczenie coraz to nasilające się, później przeciągły, rozdzierający uszy huk, wycie, nagle zniżały się tuż nad nami i za chwilę serią bomb częstowały polską ziemię. Świst, wybuch, jęk ziemi, fontanny kamieni, odłamków, brzęk szkła i… cisza. Do dzisiaj na warkot samolotu reaguję gęsią skórką.

Bomby spadały przeważnie na wygon robiąc tam ogromne leje. Odłamki rozpryskiwały się w promieniu kilkuset metrów. Ranna została pani Janka Malinowska, strasznie śmieszna stara panna, Eli koleżanka z PCK. Przybiegła do nas

między nalotami z głową zabandażowaną białymi szmatami i właśnie zaczął się kolejny nalot. Skoczyłyśmy we trzy do rowu: Ela w jednym kąciku, ja przytulona z psem Sońką, jamniczką zostawioną nam przez uciekinierów ze wschodu, w drugim kątku, a panna Janka na środku z tą białą głową. Kazałyśmy jej przykryć głowę stołkiem, po którym wskakiwałyśmy. Posłuchała. A Mama z Babcią siedziały cały czas w malinach i nigdzie nie chciały się ruszać, o żadnych dołkach nie myślały. Julek siedział na jabłonce i obserwował ostrzał z samolotów i chyba walkę powietrzną, bo ciągle wrzeszczał z zachwytem – ale dostał! Okna były wszystkie pootwierane, żeby szyby nie wyleciały, ale u sąsiadów i w oficynie nikt o to nie zadbał i słychać było brzęk tłukącego się szkła. Pamiętam, że te naloty trwały cały dzień. Nie wiem czy jeden, czy więcej. Na pewno jedną noc spaliśmy w lochu na kartoflach, które Wojtysiakowie mieli w podwórzu. Loch okazał się na tyle duży, że zmieściliśmy się: Babcia, Mama, Ela, Julek i ja. Sąsiadów gdzieś wyniosło. Nie było żywego ducha. Nad ranem zaległa martwa cisza. A gdy słońce już było na niebie posłyszeliśmy ruską mowę: ”kuda, chody siuda”, „sało u was zdes?”, „wodka, wodka”! – wylegliśmy z lochu. Widok był swojski. Ruscy sołdaci, przyjaźni ludziom miejscowym poszukiwali chleba, słoniny, wódki. Byli brudni, głodni i śmierdzieli dziegciem (dobrze znany nam zapach, gdy mieliśmy świerzb). Myli się pod studnią mydłem, które miało dziwne niebieskie kropki. Myśmy mydła nie widzieli już od dłuższego czasu, zapasów nie było, więc podarowany kawałek, kosteczkę prostokątną przyjęliśmy z wdzięcznością.

Pokazali się ludzie, wylegli z ukryć, poprzynosili żołnierzom wszystko, co mieli. Znalazł się chleb i słonina. Nasza wdzięczność dla nich wtedy nie miała ceny. Byli to wyswobodziciele od tych znienawidzonych, butnych, okrutnych Niemczurów. Sowieccy żołnierze mieli nici białe i czarne, dobre, mocne, do przyszywania kołnierzyków i guzików. Dawali nam swoje zapasy, które przydały się później. Jeszcze długo po wojnie tekturowe gwiazdki z resztkami tych nici przechowywała Ela w swoim igielniku wraz z ruskim naparstkiem. Takie były prezenty powitalne od wyzwolicieli. Trzeba to powiedzieć, gwoli prawdy, że od razu zrobiło się radośniej i już nie było tego paraliżującego lęku o życie.

Dowództwo AK uznało, że czas wyjść z lasu. Rzucone hasło „na Warszawę” miało być zrealizowane. Ogłoszono dzień powitania Akowców w mieście Hrubieszowie. Tłumy wyległy na ulice. Kto żyw niósł kwiaty, by rzucić je do stóp naszym bohaterom.

– Ależ, co to? – w każdym załomie, podwórzu, w bocznych uliczkach ruskie, zamaskowane gałązkami zieleni czołgi. Lufy skierowane na główną ulicę. Ludzie szeptali: „ale zagrzmią na wiwat, a potem na pewno pojadą za naszymi na Warszawę”. Domysły te okazały się płonne. Dziarscy nasi, chłopcy w zwartych szeregach wyszli z lasu i maszerowali radośni, odważni, szczęśliwi, że będą mogli otwarcie walczyć z wrogiem, być współwyzwolicielami własnej Ojczyzny.

I wtedy stało się coś strasznego. Czołgi wyjechały na nich. Nie uwierzyli własnym oczom i szli dalej, na przód. Jeden zginął. Wtedy z okrzykiem „zdrada”! rzucili się do ucieczki, gdzie kto mógł. To widzieli zgromadzeni wzdłuż ulic mieszkańcy.

Relacja Wiktora Fabijańskiego pseudonim „Kaśka”, później „Jeremi”:

> *Maszerowaliśmy do Hrubieszowa zgodnie z uzgodnieniami między dowództwami AK i wojsk sowieckich. Obiecano nam umundurowanie, dozbrojenie i przewiezienie do obrzeży Warszawy. Mieliśmy zakwatero-. wać się chwilowo w koszarach w Hrubieszowie. Nasze 3 bataliony liczące około 1400 żołnierzy masztowały drogą Trzeszczany – Hrubieszów. Przed Hrubieszowem otrzymaliśmy meldunek, że Hrubieszów jest zastawioną pułapką, czekają tam na nas okopane CKM-y i czołgi. Wtedy dowódca naszego Zgrupowania zarządził odwrót i wycofanie się w lasy na. północnym zachodzie powiatu hrubieszowskiego. Czołgi dogoniły nas wieczorem. Śniadanie mieliśmy zgotowane o 8-ej rano przez ludność w Trzeszczanach, gdzie owacyjnie nas przyjmowano. Oddziały pospiesznie się wycofywały. Ja z rozkazu szefa mojej kompanii przesiadłem się na konia naszego dowódcy por. ”Osterwy” czyli Zygmunta Ochmana i na tym koniu jeździłem z patrolem do późnej nocy. Potem konia musiałem oddać i dołączyłem do plutonu „CKM” por. „Zycha” czyli Janusza Grody. Czołgi nie od razu ruszyły za nami. Na przedzie mieliśmy dwa działka przeciwpancerne. Nikt nie zginął”. – Chwała Bogu! Ale nikczemność i zdrada były oczywiste. Nie mieliśmy już złudzeń co do naszych „wyzwolicieli.*

W Warszawie wybiła „Godzina W”. Stało się to 1 sierpnia o godz. 17.00, 1944 r. Wojska sowieckie były wtedy na Pradze i stały nad Wisłą patrząc, jak ginie Warszawa. Czekali specjalnie aż się wykrwawi, aż padnie ostatni powstaniec, aż Niemcy zburzą jej domy systemem sznurowym, całymi ciągami zabudowy, ulica po ulicy, kamienica po kamienicy. Jedno wielkie gruzowisko…

Józef Wit Fabijański, przed wojną w 1939 r.

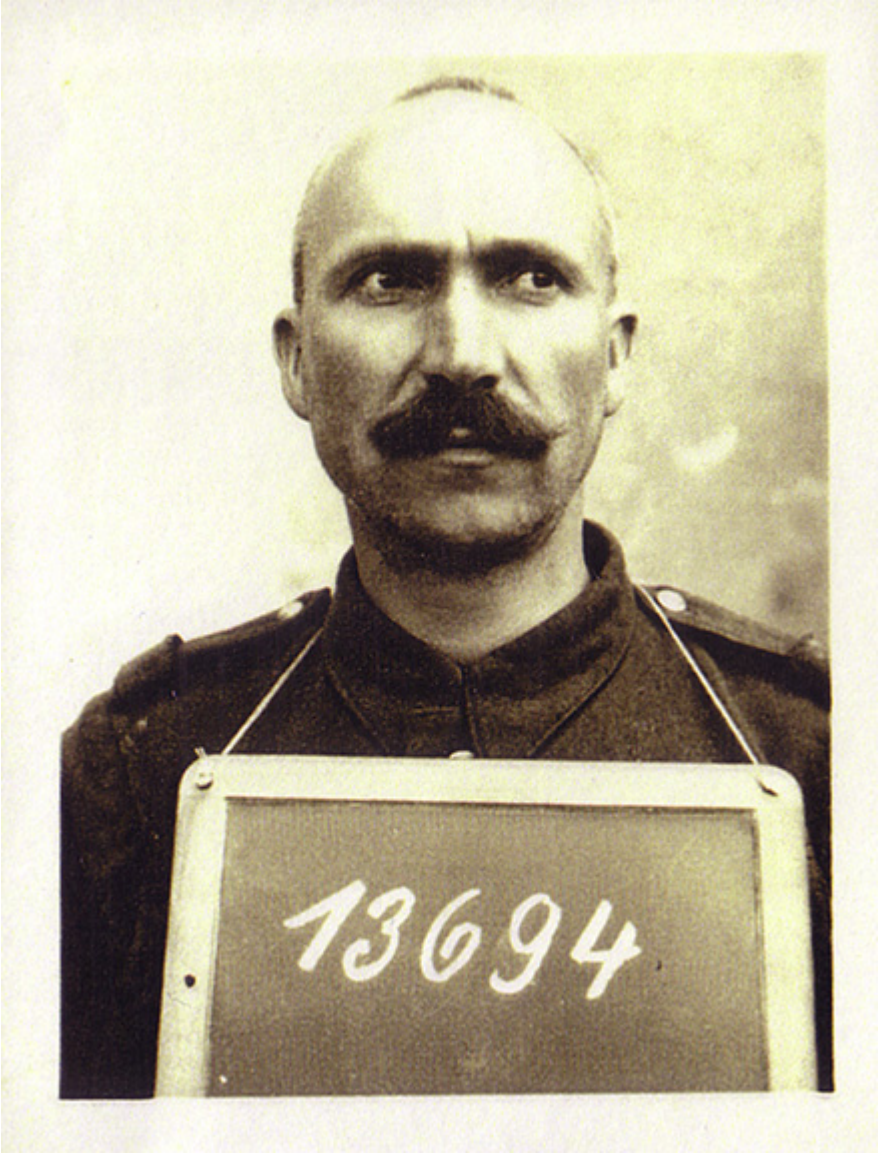

Józef Wit Fabijański w stalagu w Oschatz, listopad 1939 r.

Powstanie Warszawskie trwało 63 dni. Heroizm mieszkańców i walczących Akowców sięgnął zenitu. Wydawało się, że nie ma już żywych wśród tych ruin. Ale, gdy okupanci kazali ludności wyjść z piwnic, lochów, schronów, gruzowisk – okazało się, że cudem jakimś wiele ocalało. Wygnano ich z Warszawy do obozu w Pruszkowie. Ciocia Milusia, mamy siostra, nasza rodzinna mistyczka przez cały czas powstania była w Warszawie. Przetrwała najgorsze i razem z uchodźcami dzieliła smutny los. Została wywieziona do Austrii, gdzie przebywała w nieznanym nam bliżej klasztorze w dolinie Linzu, już do końca wojny.

Jako absolwentka matematyki na uniwersytecie w Petersburgu, przyjechała do Warszawy w wolnej Polsce i pracowała w banku PKO na Żoliborzu. W dwudzie-

stoleciu międzywojennym stanęła tam zabudowa mieszkaniowa. Ciocia miała własnościowe mieszkanie na rogu ulic Mickiewicza i Zajączka. W czasie działań wojennych najpiękniejszy pokój został uszkodzony pociskiem. Odbudowane zajęli przypadkowi ludzie. Trzeba było pracować ćwierć wieku, by mieszkanie to odzyskać drogą wpłaty czy spłaty za podobny lokal nieproszonym lokatorom. Ciocia czuła się warszawianką i do stolicy wróciła, tyle, że niezadługo zmarła na białaczkę. Podziwialiśmy Jej wiedzę, wiarę w lepszą przyszłość Polski. Uwielbialiśmy Jej opowieści, anegdotki, którymi bawiła nas w czasie okupacji, gdy przyjeżdżała na swoje urlopy do Hrubieszowa, Czumowa, czy, już po wojnie, do Zamościa.

Niemców nie bała się i w ogóle była ogromnie odważna, rodzinna, o głęboko zakorzenionym patriotyzmie nie pozbawionym dużej dawki mistycyzmu. Umiała interpretować wszelkie znane w Polsce przepowiednie i miała niezłomną wiarę w wolną Polskę, na prawdę wolną. W którymś roku wojny pojechała sama do Czumowa na Boże Narodzenie, by, jak sama mówiła „wykurzyć Niemców" za pomocą snopka zboża ustawionego w Wigilię w rogu salonu. Taka ludowa wróżba. I stało się. Ale w ostatnim roku okupacji kontakt z Ciocią Milusią urwał się. Byliśmy przecież po dwóch stronach Wisły, a to znaczyło w dwóch różnych światach.

***

Przyszedł rok 1945. Upalny czerwiec. Jeszcze nie koniec szkoły podstawowej. Niespodziewanie przyszła depesza z Zamościa o radosnej treści: „Wujcio Pocio wrócił". Wysłała ją siostrzenica naszego Taty, Jadzia Kosińska. Był dzień 14-ty czerwca. Dokładnie, jak przepowiedział duch. Na drugi dzień nie poszliśmy do szkoły, bo witaliśmy lekko przygarbionego pana z plecakiem na plecach, w wojskowej, amerykańskiej kurtce, wysokich sztylpach, w zielonej, małej czapeczce z małym daszkiem. Sylwetka dokładnie powtórzona z pamiętnego odlewu woskowego, wywróżona w „andrzejkowy" wieczór. Cóż powiedzieć? – Przecież to nie zbieg okoliczności…

Pamiętam dobrze moje pomieszanie, nieśmiałość, wręcz wewnętrzny paraliż. Nie mogłam pojąć, że ten dziwnie wyglądający pan, pochylony i przedwcześnie postarzały to mój ukochany, wyczekiwany, wypłakany Tatuś, zupełnie nie podobny do tego z fotografii przedwojennej, którą mama nam ciągle pokazywała. Po sześciu latach nieobecności nie mogłam przytulić się, ucałować, objąć. Nie byłam już małą

dziewczynką, byłam podlotkiem, za dużym, by wziąć na ręce i za małym, by zarzucić ręce na szyję. Stałam onieśmielona i patrzyłam na to rodzinne powitanie, a w głowie mi szumiało. Czułam, że chwila jest ważna, że dzieje się coś wielkiego, czego nie umiałam okazać. Pamiętam, że po powitaniach wszyscy usiedliśmy i zaczęły się opowieści. Tata mówił nam o swojej niezwykłej podróży przez Europę i Polskę. Jakże musiała ta droga się dłużyć… od 16 kwietnia, gdy opuścili obóz w Oschatz do 7 czerwca – końcowego etapu pociągiem do Zamościa. I wreszcie był ze swoją ukochaną Lolusią i czwórką młodzieży, której na ulicy pewnie by nie rozpoznał po sześciu latach niewidzenia.

Polska kaplica w niemieckim obozie w Oschatz w Saksonii, fot. arch. autorki

Potrzebowałam czasu, by oswoić się z nową dla mnie sytuacją, by dotarło nareszcie do mojej świadomości, że mam Ojca żywego, który wrócił do nas i będzie się teraz nami opiekował. Szczęśliwy to dzień i szczęśliwe te dzieci, które przeżyły powrót ojca z wojny. Ileż rodzin czekało na darmo! – ileż dzieci dowiedziało się, że ich ojciec wprawdzie żyje, ale do nich nie wróci, bo ma już drugą żonę, drugą rodzinę, drugą ojczyznę.

Dzisiaj dopiero zrozumiałam, jaki to musiał być dramat wewnętrzny, jaka rozterka: wrócić do zniewolonego komunistycznego Kraju, czy pozostać za granicą np. w Anglii i tam czekać zmiany losu Polski. – Czekać na cud lub trzecią wojnę, a może działać z dala na rzecz Polski – Ojczyzny jedynej?

Ojciec mój, nie zważając na złowieszcze prognozy swoich towarzyszy niedoli jenieckiej, na ich żarty, wręcz kpiny i manifestowaną pogardę, że wraca pod reżim, by pomóc Sowietom budować go w Polsce – miał jeden argument, okazało się bardzo trudny do pojęcia, a przecież tak prosty. – Jest już po wojnie – powiedział – wracam do mojej rodziny. Czekają na mnie, liczą, potrzebują mnie. Żona i czworo uczącej się młodzieży. Muszę być z nimi, dla nich pracować, wykształcić moje dzieci, przecież to mój obowiązek społeczny. Mam też w kraju Matkę i siostrę. Muszę się nimi zaopiekować. Nie pojmuję życia inaczej. I wrócił!

Europę przemierzał odcinkami: koleją i pieszo. Wszędzie ruiny, zbombardowane mosty, zatarasowane drogi, żadnej normalnej komunikacji. Dla piechura pozostały tylko dwie pewne nogi i plecy do dźwigania skarbów w plecaku. A tymi skarbami były listy od nas do Ojca pisane na przestrzeni tych lat, spora i ciężka paczka ok. 600. Był też album z fotografiami obozowymi, numery gazety – miesięcznika stalagowego „Zza drutów”, szkatułka drewniana własnej roboty – prezent dla żony i maszynka do krojenia chleba – cud cywilizacji europejskiej – bez deski, bo ta była już za ciężka. W albumie kryła się jeszcze jedna pamiątka – świętość: obrazek Matki Bożej Częstochowskiej (wielkości pocztówki) z uszkiem z nitki do zawieszenia nad pryczą. Według tego wizerunku młody jeniec – Polak namalował duży, piękny obraz do kaplicy obozowej Polaków. Było uroczyste jego poświęcenie i zachowała się fotografia malarza. Młody, ładny chłopak, jakże utalentowany. Może Częstochowska wzięła go w swą opiekę?

Ten młody żołnierz o nieznanym nazwisku namalował obraz kaplicy obozowej w Oschatz. Wzorem był mały obrazek z Matką Boską Częstochowską należący do mojego ojca Józefa Wita Fabijańskiego, fot. arch. autorki

Tatulku mój, ile wycierpiałeś, ile się natrudziłeś, ile namęczyłeś – Ty wielki patrioto, polski PEOWIAKU (P.O.W.—Polska Organizacja Wojskowa), ułanie belwederski I pułku Szwoleżerów Józefa Piłsudskiego, żołnierzu polski, któryś walczył dzielnie rozbrajając okupantów w Kijowie 1920 roku. Pomagałeś ustanawiać porządek i polską, władzę na Wołyniu za co odznaczono Cię Złotym Krzyżem Walecznych. Ty, mężny, kochający Ojczyznę i nas tak bardzo, że wybrałeś trudniejszą niepewność niż angielski dobrobyt. Spieszno Ci było do Twojej kochanej Lolusi i czcigodnej Mateńki oraz naszej czwórki. Dzień po dniu pokonywałeś drogę do Polski w upale i w deszczu, po gruzach i zgliszczach, głodny i wyczerpany – ale jakże wytrwały! Umiałeś być

dzielnym. Piłsudskiemu też niosłeś zamojską ziemię w urnie na kopiec do Krakowa. Szedłeś pieszo codziennie przemierzając drogę od dworu do dworu lub od plebani do plebani, by na czas dojść do stolicy Piastów i Jagiellonów. Przechowuję, jak relikwię świętą, Twoją książeczkę z tej wędrówki, w której czerwone i fioletowe pieczęcie poświadczają ślad Twoich stóp.

***

Droga wojskowa Józefa Wita Fabijańskiego

Urodzony 15 czerwca 1899 r. w Miękowiźnie powiat Garwolin z matki Władysławy z Taczanowskich i Aleksandra Fabijańskich. Po nagłej śmierci ojca w 1908 r. wyjechał z rodziną do Włodzimierza Wołyńskiego, gdzie uczęszczał do gimnazjum. W końcu 1917 r. wstąpił do P.O.W., a w dn. 5 kwietnia 1918 r. złożył przysięgę. Początkowo należał do sekcji oświatowej i z aparatem projekcyjnym objeżdżał polskie kolonie. Dnia 7 czerwca 1919 r. wstąpił jako ochotnik do 1 Pułku Szwoleżerów 5 szwadronu detaszowanego por. Brochwicz-Lewińskiego. Później był w sztabie 1 Dywizji Legionów w oddziale operacyjno-informacyjnym jako szef kancelarii. Po zakończonej wojnie 1920 r., w której brał udział w Kijowie i na Wołyniu został odznaczony Krzyżem Wołynia – Waleczności i Niepodległości. Dnia 27 czerwca 1921 r. na prośbę matki został zwolniony z wojska. Podjął dalszą naukę w Warszawie specjalizując się w kierunku buchalteryjno-handlowym na prywatnych kursach. Widocznie finansiści byli poszukiwani, bo ojciec otrzymał kilka propozycji, ale nie w Warszawie, gdzie miał ochotę pozostać i jeszcze się kształcić. Przyjął stanowisko dyrektora prywatnej fabryki St. Kowerskiego w Zamościu. Potem były lata kryzysu i propozycja organizowania i kierowania Bankiem Spółdzielczym Rolników w Hrubieszowie. To trwało do wybuchu wojny.

Jako rezerwista ojciec został powołany dopiero 9 września na zgrupowanie do Tomaszowa Lubelskiego. Pojmany przez wojska sowieckie w nocy z 17 na 18 września na terenie Wołynia, w okolicach Równego przebywał w niewoli sowieckiej na terenie Rosji (wożony w bydlęcych wagonach na mokrych liściach przez 7 tygodni). Drogą wymiany jeńców pomiędzy ZSRR a Niemcami, dostał się do międzynarodowego obozu na terenie Saksonii w miejscowości Oschatz, położonej między Dreznem a Lipskiem i tam w różnych Stalagach przebywał do kwietnia 1945

r.

Po powrocie do Polski, do Zamościa, pracował najpierw w PKO, później w prywatnej fabryce wódek Ostera, a po jej likwidacji w Zakładach Sieci Elektrycznej w Zamościu, zawsze na stanowisku związanym z finansami, księgowością, dawniej nazywało się to buchalterią. Zmarł w Zamościu, będąc już na emeryturze dn. 6 września 1972 r.

***

Eigentums-Bescheinigung

über 1 paar Halbschuhe 3 Hemden 2 Unterhosen 1 Schlafhose 1 Schlafjacke, 3 paar Socken, 1 Pullover

aus einer Paketsendung an den Kriegsgefangenen:

Nr.: 13694 Name: Fabijanski, Josef

Vorgenannter Gegenstand ist Eigentum des Kriegsgefangenen.

Oschatz, den 5. Jan. 1944.

Kdtr. Stalag IV G Briefstempel Donnerstag

Kdtr. Stalag IV G
Postüberwachung

Paketprüfer
Bergell Obsch.

M 1021. 7. 43. 10000.

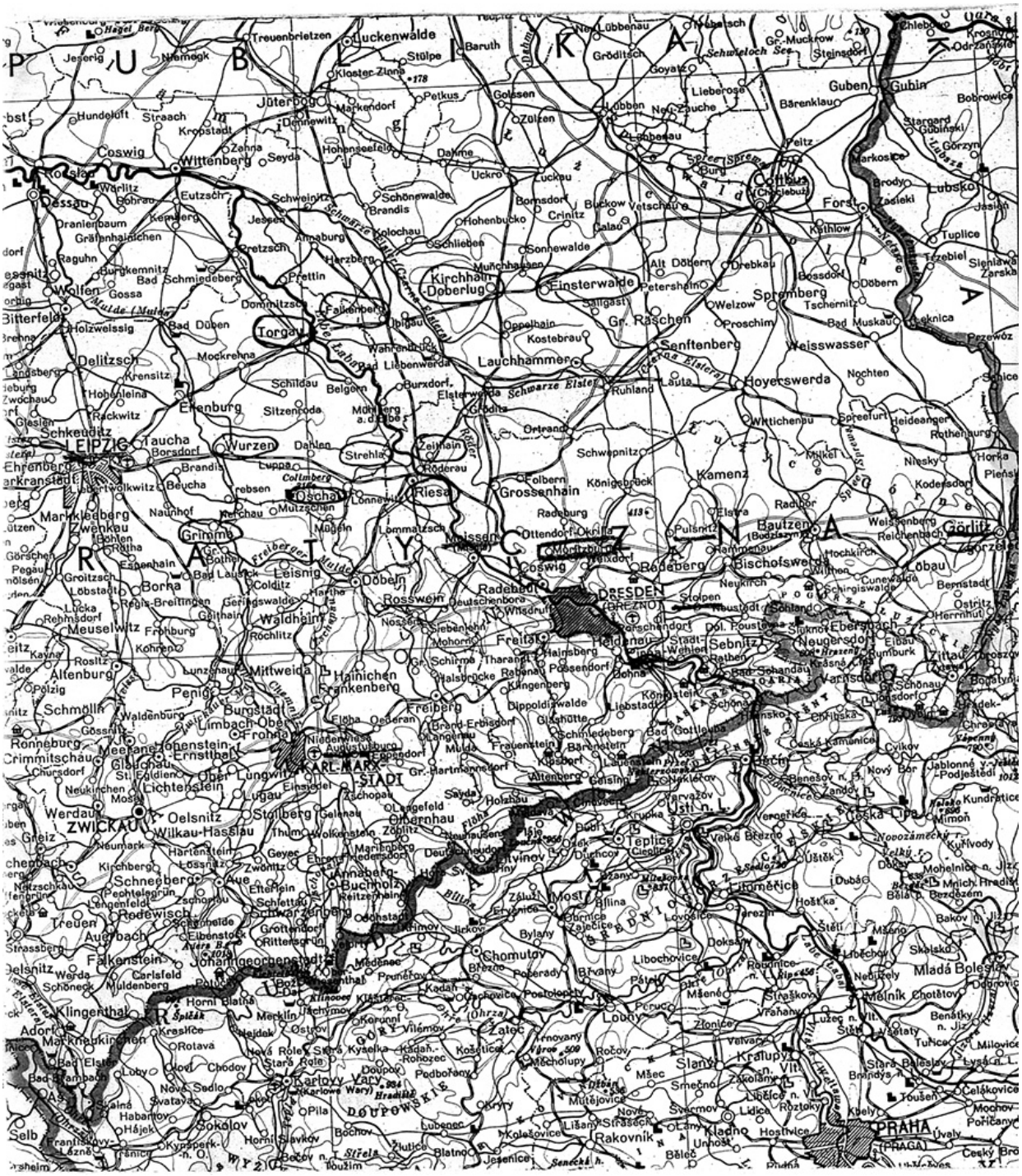
Luckenwalde
Jüterbog
Wittenberg
Coswig
Dessau
Bitterfeld
Delitzsch
Torgau
Eilenburg
Kirchhain-Doberlug
Einsterwalde
Cottbus
Forst
Guben
Lubsko
Spremberg
Gr. Raschen
Senftenberg
Weisswasser
Hoyerswerda
Lauchhammer
Riesa
Grossenhain
Meissen
Radebeul
DRESDEN
DREZNO
Bautzen
Görlitz
Löbau
Pirna
Freital
Freiberg
Mittweida
Penig
Zwickau
Werdau
Oelsnitz
Plauen
Auerbach
Falkenstein
Klingenthal
Aussig
Teplice
Most
Chomutov
Kladno
Rakovník
PRAHA
(PRAGA)
Mladá Boleslav
Kolín
Jablonné v Podještědí
Nový Bor
Česká Lípa
Liberec
Jablonec n. J.
Turnov
Mimoň
Ústí n. L.
Děčín
Rumburk
Varnsdorf
Zittau
Ebersbach
Neugersdorf
Sebnitz
Bad Schandau
Pirna
Meissen
Radebeul
Radeberg
Bischofswerda
Kamenz
Hoyerswerda
Weisswasser
Spremberg
Cottbus
Forst
Guben
Lubsko
Zielona Góra
Żagań
Legnica
Jelenia Góra
Wałbrzych
Kłodzko
Nysa
Opole
Brno
Ostrava
Olomouc
Pardubice
Hradec Králové
Jihlava
Plzeň
Karlovy Vary
Ústí n. L.
Most
Teplice
Chomutov
Kladno
Rakovník
Mladá Boleslav
Kolín
Jablonné v Podještědí
Nový Bor
Česká Lípa
Liberec
Jablonec n. J.
Turnov
Mimoň
Ústí n. L.
Děčín
Rumburk
Varnsdorf
Zittau
Ebersbach
Neugersdorf
Sebnitz
Bad Schandau
Pirna
Meissen
Radebeul
Radeberg
Bischofswerda
Kamenz
Hoyerswerda
Weisswasser
Spremberg
Cottbus
Forst
Guben
Lubsko
Zielona Góra
Żagań
Legnica
Jelenia Góra
Wałbrzych
Kłodzko
Nysa
Opole
Brno
Ostrava
Olomouc
Pardubice
Hradec Králové
Jihlava
Plzeň
Karlovy Vary
Ústí n. L.
Most
Teplice
Chomutov
Kladno
Rakovník
Mladá Boleslav
Kolín

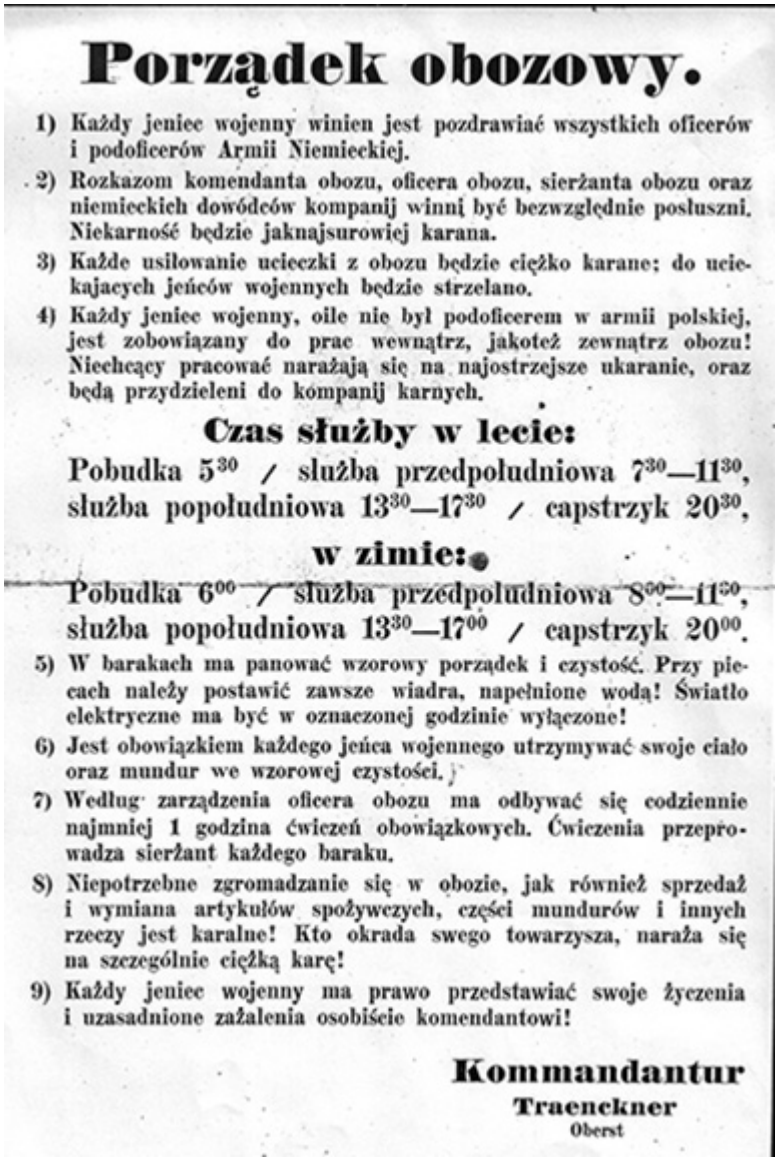

Porządek obozowy.

1) Każdy jeniec wojenny winien jest pozdrawiać wszystkich oficerów i podoficerów Armii Niemieckiej.
2) Rozkazom komendanta obozu, oficera obozu, sierżanta obozu oraz niemieckich dowódców kompanij winni być bezwzględnie posłuszni. Niekarność będzie jaknajsurowiej karana.
3) Każde usiłowanie ucieczki z obozu będzie ciężko karane; do uciekających jeńców wojennych będzie strzelano.
4) Każdy jeniec wojenny, oile nie był podoficerem w armii polskiej, jest zobowiązany do prac wewnątrz, jakoteż zewnątrz obozu! Niechcący pracować narażają się na najostrzejsze ukaranie, oraz będą przydzieleni do kompanij karnych.

Czas służby w lecie:

Pobudka 5^{30} / służba przedpołudniowa 7^{30}—11^{30}, służba popołudniowa 13^{30}—17^{30} / capstrzyk 20^{30},

w zimie:

Pobudka 6^{00} / służba przedpołudniowa 8^{00}—11^{30}, służba popołudniowa 13^{30}—17^{00} / capstrzyk 20^{00}.

5) W barakach ma panować wzorowy porządek i czystość. Przy piecach należy postawić zawsze wiadra, napełnione wodą! Światło elektryczne ma być w oznaczonej godzinie wyłączone!
6) Jest obowiązkiem każdego jeńca wojennego utrzymywać swoje ciało oraz mundur we wzorowej czystości.
7) Według zarządzenia oficera obozu ma odbywać się codziennie najmniej 1 godzina ćwiczeń obowiązkowych. Ćwiczenia przeprowadza sierżant każdego baraku.
8) Niepotrzebne zgromadzanie się w obozie, jak również sprzedaż i wymiana artykułów spożywczych, części mundurów i innych rzeczy jest karalne! Kto okrada swego towarzysza, naraża się na szczególnie ciężką karę!
9) Każdy jeniec wojenny ma prawo przedstawiać swoje życzenia i uzasadnione zażalenia osobiście komendantowi!

Kommandantur
Traeneckner
Oberst

Powrotna droga z obozu w Oschatz do Zamościa

Na zachowanej kartce wielkości zeszytu, złożonej we czworo tak, by mieściła się w kieszeni munduru, Ojciec mój, Józef Wit Fabijański spisywał dzień po dniu przebyty etap, zaznaczając jednocześnie czy szli pieszo, czy jechali. Z pogrzebu Francuza, którego musieli po drodze pochować wynika, że opuścili obóz nie tylko Polacy. Jak było ich dużo? – trudno wiedzieć. Dlaczego krążyli wokół Oschatz zmieniając kierunek raz na wschód, raz na zachód w gruncie rzeczy nie przybliżając się do Kraju. Cóż to była za strategia? – Rozumiem, że mogły być przeszkody natury komunikacyjnej, dróg, mostów, transportu – wszak trwały jeszcze działania wojenne. Koniec wojny nie był ogłoszony. – Może więc historykom II wojny św., badaczom wojskowości taki fakt udokumentowany zapisem jednego z jeńców, będzie przydatny,

może coś wyjaśni? – Na załączonej mapie zakreślone miejscowości wykazują jakiś bezsens tej wędrówki, przedłużania udręki i niepewności. Karmienie żołnierzy złudzeniem, że wracają do ojczyzny…

Przytaczam dosłownie ten kuriozalny dziennik podając jedynie nazwy miejscowości w ich brzmieniu z mapy wydanej w Polsce w 1959 r.

POWRÓT

16.IV godz. 11-ta wyjazd z Oschatzu przez Strehlę do lasu Jakobsthal pod obóz w Zeithain (po drugiej stronie Łaby).

21.IV.godz. 21-sza wyjazd z lasu brzegiem Łaby (Elby) przez Riesę do wsi Zekwitz w niedzielę, godz. 4-ta po obiedzie.

23.IV rano godz. 8-ma wymarsz pod Oschatz do Weisdorfu.

25.IV.godz.16.30 wymarsz do linii frontowej amerykańskiej pod Wurzen i skierowanie na Grimmę

26.IV. godz. 9-10-ta przeprawa przez Muldę. Oblanie wolności butelką wina; godz.13-ta przybycie do koszar.

29.IV. Msza św. polowa na placu.

17.V. odjazd z Grimmy za Muldę godz. 10-ta i marsz do Dübrieczen (?).

18.V. marsz przez Wernsdorf do Torgau – tam nocleg.

19.V. Triestewitz (Zielone Świątki) – przerwa na pogrzeb Francuza.

21.V. dalszy marsz do Falkenbergu.

22.V. marsz dalszy na Kirchhaln-Doberlung z postojem nocnym.

23.V. marsz Einsterwaldei nocleg w Biltten.

25.V. wymarsz w kierunku Cottbus (Chocieboża) i nocleg.

26.V. godz. 18-ta przybycie na stację i załadowanie do pociągu, odjazd nocą.

27.V. przybycie do Sorau o godz. 17-tej. Dłuższy postój i wyjazd w nocy z 29 na 30 maja do Głogowa w godz. południowych

1.VI. wyjazd godz. 18-ta przez Rawicz do Oleśnicy. Postój przez noc i wyjazd do Lublińca.

3.VI nocleg i wyjazd do Częstochowy.

4.VI Częstochowa, godz. 10-ta.

5.VI godz. 19-ta wyjazd do Kielc, nocleg.

6.VI. godz. 5-ta wyjazd do Skierniewic i dalej do Rozwadowa.

6.VI/7.VI nocleg na dworcu.

7.VI godz. 5-ta wyjazd do Lublina, przesiadka na pociąg do Zamościa

7.VI godz. 18-ta przybycie do Zamościa – (koniec DROGI PRZEZ MĘKĘ, przyp. T.F.Ż.)

Powrót do Mateńki i Januszki z Jadzią.

Wspomnienia Teresy Fabijańskiej-Żurawskiej ukazują się w ostatni czwartek miesiąca.

Poprzednie części wspomnień:

Z rodzinnego albumu. Życie pod zaciemnieniem.

Z rodzinnego albumu. Z duchami w tle.

Zobacz też:

Historia w karetach zaklęta

„Wychowaj dzieci z szacunkiem do przeszłości” – Tomasz Jędrzejewicz o swoim ojcu

Tomasz Jędrzejewicz podczas spotkania 21 marca 2021 roku przez platformę Zoom

TOMASZ JĘDRZEJEWICZ – syn Wacława Jędrzejewicza przedwojennego

ministra w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, pomysłodawcy i założyciela Instytutu im. Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku, bratanek premiera Janusza Jędrzejewicza, szwagier Andrzeja Becka – syna ministra spraw zagranicznych, Józefa Becka. 21 marca 2021 r. w ramach spotkań Klubu Historyka Austin Polish Society, pod patronatem magazynu „Culture Avenue" odbyło się spotkanie on-line na temat historii nowojorskiego Instytutu Piłsudskiego. Po niezwykle interesującej prelekcji pani dyrektor dr Iwony Korgi na temat historii tej placówki i ludzi z nią związanych, uczestnicy spotkania mieli okazję usłyszeć jak swojego ojca wspomina jego syn, Tomasz.

Tomasz Jędrzejewicz *(Austin, Teksas)*

Moja najbliższa rodzina składała się z mojego ojca Wacława, matki Jadwigi i starszej siostry Ewy.

Ojciec urodził się na Ukrainie, z polskich rodziców. Rodzina przeniosła się do Warszawy, gdy mój ojciec miał 10 lat, w 1903 r. Ukończył Liceum im. Chrzanowskiego w Warszawie w 1913 r. Potem dołączył do strzelców marszałka Józefa Piłsudskiego, rozpoczynając jednocześnie studia rolnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim. Stwierdził, że „fascynowała go idea wykorzystania działań paramilitarnych jako środka do odzyskania niepodległości Polski". To był początek obszernego szkolenia wojskowego.

Był oficerem Wojska Polskiego w czasie I wojny światowej, od 13 lipca 1917 r. – 19 lipca 1918 r. Dostał się w tym czasie do niewoli niemieckiej.

W listopadzie 1918 roku mój ojciec wstąpił do sekcji wywiadu polskiego Sztabu Generalnego. Zbiegło się to z nominacją Piłsudskiego na Naczelnego Wodza Wojska Polskiego przez Radę Regencyjną. W 1919 roku stał się ekspertem od Rosji radzieckiej, a znajomość języka rosyjskiego, zdobyta podczas wczesnej edukacji na Ukrainie, bardzo mu w tym pomogła. Mój ojciec kontynuował pracę na stanowiskach wojskowych w czasie wojny polsko-bolszewickiej. Został schwytany przez Kozaków podczas misji 14 lipca 1920 r. Na szczęście zdołał uciec podczas marszu więźniów 22

lipca. Udało mu się wrócić do służby, a w listopadzie 1920 i marcu 1921 roku służył jako członek Delegacji Polskiej podczas rozmów pokojowych z Rosją w Rydze. 11 września 1921 r. Marszałek Piłsudski odznaczył mojego ojca krzyżem Virtuti Militari (najwyższe polskie odznaczenie za odwagę).

Ppłk. Wacław Jędrzejewicz dekoruje japońskich oficerów krzyżem Virtuti Military za waleczność podczas wojny rosyjsko-japońskiej. Krzyz Virtuti Militari otrzymują admirał Keisuke Okodo (z prawej) i premier Giichi Tanaka (z lewej), 1928 r., fot. arch. Tomasza Jędrzejewicza.

W 1925 roku mój ojciec mieszkał w Japonii, gdzie objął stanowisko polskiego *attaché* wojskowego, a później został *Charge d'Affairs.*

Po powrocie do Warszawy w 1928 roku Marszałek Piłsudski skierował mojego ojca do pracy cywilnej. Przez następne pięć lat ojciec był zastępcą dyrektora i dyrektorem Wydziału Konsularnego w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, a w 1933 r. został przeniesiony do Departamentu Skarbu. W tym samym roku mój stryj, Janusz Jędrzejewicz został premierem Polski. Jego program reformy polskiego szkolnictwa wymagał więcej czasu na realizację, niż wcześniej planowano. Aby przeprowadzić tę reformę, stryj mianował mojego ojca ministrem oświaty. Reforma została wdrożona, a mój ojciec powiedział mi później, że dzięki temu polski system edukacji osiągnął taki sam wysoki poziom, jak ówczesna Francja.

To właśnie w tych pracowitych latach mój ojciec założył rodzinę. Moja mama Jadwiga Puławska uzyskała dyplom lekarza dentysty, ale od 1915 r. służyła w Polskiej Organizacji Wojskowej pod pseudonimem Giga. Brała udział w akcjach zbrojnych przeciwko Niemcom i była tajnym kurierem w różnych operacjach szpiegowskich przeciwko Niemcom i Rosjanom. Aresztowana przez Niemców i oskarżona o szpiegostwo, podczas przesłuchań nic nie ujawniła. Za zasługi została odznaczona Krzyżem Niepodległości z Mieczami i dwukrotnie Krzyżem Walecznych.

Mój ojciec i mama pobrali się w 1931 roku, moja siostra Ewa urodziła się w 1932 roku, a ja w 1934 roku.

Po śmierci Piłsudskiego mój ojciec wycofał się z aktywnego życia politycznego. Pełnił funkcję sekretarza generalnego Komitetu Krzyża i Medalu Niepodległości, a także nadzorował polską wystawę podczas Światowej Wystawy w Paryżu w 1937 roku (prekursor dzisiejszych Światowych Targów). Pawilon Polski został nagrodzony Złotym Medalem.

Ojciec zajmował się też nadzorowaniem budowy naszego domu, współpracą z organizacjami kombatantów i pisaniem wspomnień ze służby wojskowej.

1 września Niemcy napadły na Polskę, a 17 września Związek Radziecki zaatakował nasz kraj od wschodu. Mój ojciec starał się, aby go powołano ponownie do czynnej służby, ale 5 września rząd opuścił Warszawę, więc on wyjechał wraz z rządem. Tata załatwił, abyśmy ja, moja siostra, mama i nasza niania pojechali do majątku bliskiego przyjaciela pod Wilnem. To pożegnanie było początkiem separacji rodzinnej, która trwała do 1947 roku. Mój ojciec brał udział w ewakuacji polskiego Funduszu Obrony Narodowej, który dostarczył do Francji. Sam następnie przedostał się do Anglii.

Moja mama, siostra i ja osiedliliśmy się początkowo w Orwidowie koło Wilna w dość prymitywnych warunkach. Po 17 września znaleźliśmy się pod okupacją sowiecką. Moja mama nie wiedziała, gdzie jest mój ojciec, ale pisała listy do przyjaciół w różnych miastach i różnych ambasadach, mając nadzieję, że niektórzy z nich mogą zlokalizować mojego ojca. Ostatecznie w grudniu nawiązali kontakt, ale na poczcie wojennej nie można było polegać, bo tylko około jedna trzecia listów dotarła do nas lub do mojego ojca.

Warunki w Orwidowie były wyjątkowo trudne i moja mama w końcu znalazła pokój w klasztorze w Wilnie, gdzie cała nasza czwórka mogła się tam przenieść. W czerwcu 1941 r. Niemcy zaatakowali Związek Radziecki i znaleźliśmy się tym razem pod okupacją niemiecką. Niestety wtedy ustała też wszelka komunikacja z moim ojcem.

Zanim Niemcy wkroczyli do Wilna, Sowieci systematycznie deportowali Polaków na Syberię lub do innych wschodnich prowincji, a my byliśmy spakowani i gotowi na wywózkę. Wtedy przyszedł do nas funkcjonariusz NKWD, poprosił o dokumenty, sprawdził listę i powiedział, że nie ma nas na liście. Mieliśmy ogromne szczęście, ponieważ bardzo duży procent deportowanych przeżył nie dłużej niż rok.

Po wejściu Niemców przenieśliśmy się do małego miasteczka Wasiliszki. Moja mama dzieliła gabinet dentystyczny z dentystką żydowskiego pochodzenia, której pozwolono wykonywać zawód, ale musiała codziennie wracać do getta. Moja matka dzieki tej pracy mogłą mieć jakiś dochód. Niemniej jednak oznaki wojny i brutalnej okupacji były codziennie widoczne. Pewnego dnia Niemcy *(Einsatzgruppen)* wjechali na wiejski plac, zebrali wszystkich Żydów z getta, wyprowadzili ich na cmentarz żydowski i zamordowali. Następnego dnia wyszli i udali się do innej wioski. Żydowska dentystka nie pojawiła się już więcej w gabinecie.

Matka w maju 1944 r. postanowiła wrócić do Warszawy. Przenieśliśmy się do mieszkania jej siostry na Mokotowie. Mam żywe wspomnienia z wydarzeń z 1 sierpnia 1944 r. O godzinie 17:00 żołnierze Armii Krajowej przemieszczali się szybko ulicą wzdłuż ścian budynków, a gdy doszli do skrzyżowania, dowódca wskazał budynek naprzeciw i wszyscy żołnierze pobiegli w tym kierunku. Padły strzały. To był początek Powstania Warszawskiego. Walki toczyły się w całym mieście. Pamiętam w następnych dniach wspinaczkę na dach naszego budynku, a kiedy się rozglądałem, wszędzie, gdzie spojrzałem, widziałem płomienie.

Nasza dzielnica została wkrótce odbita przez Niemców i pewnego ranka wysiedlono nas i kazano nam podążać za strażnikami stacjonującymi na ulicach. Szliśmy i szliśmy godzinami. Po południu mama, która mówiła dobrze po niemiecku, zatrzymała się i poprosiła niemieckich strażników, czy moglibyśmy trochę odpocząć. Żołnierz kazał jej iść w stronę lasu, bo następny patrol był patrolem SS, który wysyłał ludzi do obozów koncentracyjnych. Odeszliśmy więc zgodnie z instrukcją,

zatrzymując się na farmach lub w stodołach, gdzie tylko mogliśmy.

Podpisanie Konstytucji przez prezydenta RP Ignacego Mościckiego w Sali Rycerskiej na Zamku Królewskim. Trzeci od prawej – Wacław Jędrzejewicz – minister wyznań religjnych i oświecenia publicznego. Widoczni m.in. premier Walery Sławek, minister spraw wewnętrznych Marian Zyndram Kościałkowski, szef Gabinetu Wojskowego Prezydenta RP pułkownik Jan Głogowski, szef Kancelarii Cywilnej Prezydenta RP Stanisław Świeżawski, wicemarszałek sejmu Stanisław Car, marszałek sejmu Kazimierz Świtalski, marszałek senatu Władysław Raczkiewicz, szef Protokołu Dyplomatycznego Ministerstwa Spraw Zagranicznych Karol Romer (na prawo za W. Raczkiewiczem), minister komunikacji Michał Butkiewicz, minister poczt i telegrafów Emil Kaliński, minister przemysłu i handlu Henryk Floyar-Rajchman (2. z lewej), minister opieki społecznej i ochrony pracy Jerzy Paciorkowski, minister rolnictwa i reform rolnych Juliusz Poniatowski,, kapelan prezydenta RP ks. prałat Jan Humpola (stoi w głębi za prezydentem), adiutant prezydenta RP kpt. Józef Hartman (w głębi, na prawo za K. Romerem), fot. wikimedia commons

Po około dwóch miesiącach znaleźliśmy się w Radomiu, gdzie moja mama znów

mogła prowadzić praktykę dentystyczną. Mieszkaliśmy tam do końca wojny. Mama ponownie nawiązała korespondencję z ojcem. Nie znam szczegółów na temat tego, jak moi rodzice się odnaleźli, poza tym, że szukali się przez znajomych.

Dowiedzieliśmy się, że mój ojciec opuścił Anglię w 1941 roku i przyjechał do Nowego Jorku. Pracował na fermie kurczaków, a następnie w fabryce amunicji na Manhattanie. Zaraz po przyjeździe podjął współpracę z „Nowym Światem" (nowojorską gazetą codzienną), a później pisał do kilku innych polskich dzienników i tygodników. Udało mu się nawiązać kontakt z przyjaciółmi ze służby w Polsce przed II wojną światową, którzy również wyemigrowali do USA. Aktywnie działał w Komitecie Narodowym Amerykanów Polskiego Pochodzenia (KNAPP), który powstał w 1942 roku.

Na drugim zjeździe KNAPP, z inicjatywy mojego ojca, zdecydowano o utworzeniu Instytutu Piłsudskiego w Ameryce w celu studiowania najnowszej historii Polski. Mój ojciec został jego pierwszym dyrektorem.

W międzyczasie ojciec pracował nad zorganizowaniem przyjazdu mojej matki, siostry i mnie do Stanów Zjednoczonych w charakterze przesiedleńców (DP). Moja mama musiała nas wydostać z Polski będaceja pod kontrolą komunistów. Prawnie nie było to dla nas możliwe. Mama wynajęła przewodnika, który przeprowadził nas przez granicę do Czechosłowacji. Stamtąd planowaliśmy udać się do Wiednia, który był częścią wolnego świata. Niestety płatny przewodnik wydał nas na granicy. Byliśmy uwięzieni przez dwa tygodnie, a potem musieliśmy wrócić do Radomia.

Moja mama wpadła wtedy na pomysł, żebyśmy pojechali pociągiem do Niemiec, udając Niemców – repatriantów, odesłanych przez polski rząd. Ten plan, choć nie był pozbawiony ryzyka, ostatecznie zakończył się sukcesem. Mieszkaliśmy w północno-zachodniej części Niemiec, we wspólnocie polskich przesiedleńców, a w tym czasie trwały przygotowania do naszego wyjazdu do Ameryki.

Płynęliśmy statkiem SS Marine Perch, który dotarł do Nowego Jorku 22 kwietnia 1947 roku. Na molo czekał na nas człowiek, którego wydawało mi się, że mogę rozpoznać. Kiedy ostatni raz go widziałam, miałam zaledwie 5 lat, więc czekałam, aż moja siostra Ewa zacznie do niego biec, wtedy się upewnię, że ten człowiek jest moim ojcem.

Mieszkaliśmy w Nowym Jorku. Ja i Ewa poszliśmy do szkoły i niewiele mieliśmy okazji, żeby mówić po polsku. Ojciec zajęty był pracą w Instytucie Piłsudskiego, pisał wiele artykułów i książek historycznych. W 1948 r. *Wellesley College* zaproponowało mu pozycję profesora języka i literatury rosyjskiej. Przeprowadziliśmy się wtedy do Wellesley. Skończyłem tam gimnazjum, a potem poszedłem na *Northeastern University*, który skończyłem w 1958 r.

Przez 10 lat w Wellesley nareszcie mogłem poznać mojego ojca. Interesował się moją nauką i pracą, a ja zacząłem się interesować historią Polski oraz poznawać jego rolę w budowaniu niepodległego kraju. Przekonałem się też, że to co moja mama opowiadała o moim ojcu było prawdą. Ale najważniejsze dla mnie było poznać jego charakter. To był człowiek który rozumiał, że prawda i precyzja w pracy są najważniejszymi rzeczami w życiu.

Rodzina Jędrzejewiczów, 100-lecie urodzin Wacława Jędrzejewicza (pierwszy z prawej). Od lewej: Tomasz Jędrzejewicz i synowie – Marek, Tomek, Stefan, fot. arch. Tomasza Jędrzejewicza

Co było dalej? Ukończyłem Northeastern University, Boston, MS z tytułem licencjata w dziedzinie elektrotechniki w 1958 r. Przez kilka lat pracowałem jako inżynier, aż w końcu otrzymałem stanowisko Dyrektora Programów Technicznych w firmie *Acuson* w Mountain View w Kalifornii, gdzie pracowałem przez 18 lat. W 2002 roku moja

żona Kathy i ja zdecydowaliśmy się przejść na emeryturę, przenieśliśmy się wtedy do Austin w Teksasie. Jeszcze przez jakis czas obydwoje pracowaliśmy jako konsultanci dla kilku firm zajmujących się obrazowaniem medycznym. Obecnie już nie pracujemy.

Moja siostra Ewa i jej mąż Andrzej Beck mieszkali w Connecticut, podczas gdy ja i Kathy mieszkaliśmy w Kalifornii. Kathy jest Amerykanką, więc nasze dzieci nie miały okazji rozmawiać po polsku. Ewa i Andrzej zdecydowali się nie uczyć swoich córek angielskiego, ponieważ uważali, że po rozpoczęciu edukacji szkolnej bardzo szybko same nauczą się tego języka. Dzięki temu ich córki są dwujęzyczne, podczas gdy język polski moich synów ograniczał się do bardzo niewielu słów lub wyrażeń. Mieszkając daleko od siebie, nie mieliśmy zbyt wielu okazji do interakcji, ale podczas wszystkich naszych wizyt dużo rozmawialiśmy na temat polskiej historii i wspominaliśmy nasze życie w czasie II wojny światowej.

Teraz, po latach, postanowiłem spisać swoje wspomnienia przede wszystkim dla moich dzieci, aby mogły zapoznać się z latami okupacji niemieckiej i rosyjskiej, a z naszymi próbami ucieczki z komunistycznej Polski i połączenia się z ojcem. Chciałbym im przekazać to co ważne, szacunek do przeszłości i polskiej tradycji.

Na zakończenie dzielę się fragmentem listu, który mój ojciec napisał do mojej matki 6 marca 1941 roku, zanim opuścił Anglię. Rodzice nie mieli wtedy ze sobą komunikacji, więc nie wiem, czy moja mama kiedykolwiek otrzymała ten list. Znalazłem go w korespondencji mojego ojca po jego śmierci. Myślę, że musiał chcieć jej powiedzieć te ważne rzeczy, ponieważ podróż, którą miał odbyć, czyli przekroczanie Atlantyku, była bardzo ryzykowna, gdyż Niemcy torpedowali płynące do Ameryki statki. Ten fragment ilustruje osobowość mojego ojca lepiej niż jakiekolwiek słowa, które mógłbym o nim powiedzieć:

> *Trudno mi opisać jak bardzo tęsknie do ciebie, do Ewy i Tomka. Przecież wy, po Polsce, jesteście mi wszystkim na świecie.*
>
> *Wychowaj dobrze dzieci, bardzo współcześnie, a z szacunkiem dla przeszłości i tradycji. Niech rozumieją i umieją odczuć nasze piękne życie dla Polski, Twoje i moje. Niech to będzie dla nich istotną wartością dla wydobycia z nich siły charakteru, wiary, odwagi, oddania sprawie.*

Niech umieją obronić nazwisko przed wszelkiemi na nie atakami.

Zobacz też:

Wacław Jędrzejewicz w 128. rocznicę swoich urodzin

Z rodzinnego albumu. Życie pod zaciemnieniem.

Mama z małą Elą, Zamość 1925 r.

Teresa Fabijańska-Żurawska *(Łańcut)*

Od początku okupacji zapanowały ciemności. Te z nakazu hitlerowców i te wypływające z konsekwencji wojny. Elektrownia miejska została rozebrana na części i wywieziona, czy też na miejscu ukryta przez jej pracowników, by nie dostała się w

ręce niepowołane i nie poszła na armaty. Powszechnie obowiązywało zaciemnienie wszystkich możliwych okien, źródeł światła. Wyprodukowano nawet specjalny papier w ogromnych arkuszach i zwojach na rolety czarne, grube, nie przepuszczające ani smugi światła. Pilnowała tego policja i sypano wysokie kary, a nawet groziło więzienie, tortury na Gestapo, czy śmierć. Miasto tonęło więc w kompletnych ciemnościach i naturalnie obowiązywała godzina policyjna o dwudziestej.

Siedzieliśmy w domu w Hrubieszowie przy jednej lampie naftowej wokół sześcioosobowego stołu. Każdy coś robił. Mama cerowała skarpety babci, nasze pończochy, grube i wełniane dolne niewymowne, których był deficyt. Przerabiała i łatała nasze okrycia, ponieważ szybko wyrastaliśmy i zdzieraliśmy chodząc ciągle w tym samym. Mundurki były zakazane. Wspomniałam już o koncesji na sprzedaż papierosów, którą mama otrzymała, ale *de facto* zajmował się tym Witek. On to wystawał w kolejkach do hurtowni monopolistycznej spółki HERBEWO (od początkowych liter nazwisk trzech wspólników), działającej jeszcze przed wojną. Kto nie żył w tych czasach, ten nie będzie wiedział, jaka to była ważna sprawa dla palaczy, a większość ludzi, zwłaszcza mężczyzn paliła. Nigdy nie zapomnę tej kolejki pod kioskiem, w którym była drewniana, ładnie zaprojektowana budka wielkości małego namiotu, z dachem namiotowym zakończonym ozdobną sterczyną. W połowie ścianek były witryny zamykane z zewnątrz okiennicami. Nie było tam ani piecyka, ani miejsca do zagospodarowania. Ot, taki letni kiosk na lody używany tylko latem. Ale z tym większego problemu nie było, ponieważ papierosów otrzymywał brat minimalną ilość. Mimo to nie uniknięto reglamentacji. Rzucała się ta wygłodniała masa obszarpanych, biednych zgłodniałych nikotyny i bijąc się, rozpychając szturmem zdobywała jak najdogodniejszą pozycję, aby tylko nie utracić tych dziesięciu sztuk najmocniejszych papierosów. Drżące, zmarznięte dłonie wyciągały się i chowały gniotąc cenną zdobycz. Stawali w kolejce jeszcze, i jeszcze raz, teraz już spokojni i syci. Pogodzeni, a nawet uśmiechający się do siebie, jakby życzliwsi dla całego świata. Sprzedaż ta nie zajmowała więcej niż godzinę, dwie dziennie. Zarobek wprost proporcjonalny do całego przedsięwzięcia. Nie wiem, czy wystarczył na opłacenie mieszkania, opał i naftę, tej z jakiegoś powodu czasem brakowało i wtedy zdani byliśmy na cuchnący karbid. Czy ktoś z młodych może sobie wyobrazić sześcioosobową rodzinę zmuszoną do wdychania cuchnąco – duszących spalin, małej, ledwie rozświetlającej mrok swym czerwonym, żarzącym płomykiem karbidówki ?

A przecież to wokół tej lampy naftowej, czy karbidowej skupiało się nasze życie, nasze rozmowy, czytanie, odrabianie lekcji, uczenie innych młodych (Ela dawała lekcje), przyjmowanie gości, gry i zabawy, nasze pasje, zdobywanie wiedzy. Toczyło się normalne życie, chociaż ograniczone, zniewolone warunkami zewnętrznymi, ale wspaniałe i wzniosłe duchowo, intelektualnie, pełne inspiracji, nadziei na koniec wojny i powrót ojca. Wierzyliśmy w to głęboko i modliliśmy się gorliwie.

Uwielbiałam okresy, kiedy była z nami babcia Mania (mama mamy), bo zawsze przygotowała nam, a przede wszystkim mnie, sukienki przerabiane z maminych i Elinych, plotła mi warkoczyki (tylko ona potrafiła mi dogodzić) nie szarpiąc za włosy, wiązała kokardy, a dla wszystkich dzieci robiła przepyszne mleko makowe do kisielków i galaretek owocowych. Z babunią było radośniej spokojniej i nawet chłopcy mniej się kotłowali. Babunia cały czas coś robiła dla nas smacznego. Mama też w tych dniach wyglądała lepiej, śmiała się i opowiadała coś ze swojego dzieciństwa. Dużo ze sobą rozmawiały. A jeśli nie chciały abyśmy my – dzieci rozumiały, przechodziły nagle na język francuski.

Babuni poświęcę osobny rozdział, bo była to wielka osobowość, dama z urodzenia i w każdym calu. Wielkoduszna, wyrozumiała, ciepła i czuła, a jednocześnie zahartowana psychicznie i zaradna. W tym czasie przebywała najczęściej w Wiszniowie u Lili Banaszkiewiczowej (córki cioci Niusi Piątkowskiej, siostry mamy). Rodziły się wtedy kolejne dzieci: Maryla, Andrzej (Ijunia i Eni) oraz Zosia.

Gdy nie było babuni, podporą naszej rodziny stawała się doroślejsza Ela. Filar nie tylko psychiczny, ale i moralny. Wymagająca od młodszego rodzeństwa dyscypliny, wykonywania obowiązków i bycia w domu na czas. Bardzo nie lubiła zwłaszcza moich wybiegów do sąsiadów i to od niej miałam ksywkę „latawiec”. Nie powiem, żebym się tym przejmowała. Ciekawość życia ludzi, którzy mieszkali obok, ich obyczajów, przyznaje, trochę odmiennych od naszych, właśnie mnie pociągała. Eli zakazy i skarżenie do mamy nie pomagały. Do pokornych nie należałam.

Ela była bardzo zajęta. Uczyła się i pracowała w placówce Polskiego Czerwonego Krzyża prowadzonej przez doktora medycyny, Władysława Kuczewskiego, pełniącego również bardzo istotną dla ludności rolę lekarza powiatowego. Pod koniec wojny zabił go Ukrainiec, który udał pacjenta. Cóż to za stratę poniosło całe społeczeństwo.

Wypisywał dla swego zabójcy ostatnia receptę. Zginął 28 grudnia 1943 r. Sroga zima, chłód i ziąb niepowstrzymany tłumów dorosłych i dzieci Polaków i Ukraińców w oddaniu hołdu temu wielkiemu człowiekowi, któremu tak wielu, tak wiele zawdzięczało.

Zziębnięta w moim przykrótkim paletku przerobionym jeszcze w 1939 roku z mamy płaszcza i w chuście szydełkowej, uczestniczyłam w pierwszym w życiu pogrzebie, wstrząśnięta, przejęta do szpiku kości. Nie był to zwykły pogrzeb. Ta manifestacja patriotyczna wyrażała sprzeciw wojnie, Niemcom, zniewoleniu, bezprawnemu panoszeniu się na polskiej ziemi, nienawiści wznieconej i podsycanej przez okupanta. Ale to był zaledwie początek. To co najgorsze miało dopiero nadejść.

***

Wojska niemieckie koncentrowały swe siły wzdłuż linii Bugu. Codziennie transporty przejeżdżały przed naszymi oknami. Zdarzało się, że zabierano nam jeden pokój z niezależnym wejściem na kwaterę dla oficera. Mama mówiła biegle po niemiecku, co było dobrze przyjmowane. Niemieccy wojskowi zachowywali się wtedy uprzejmie i załatwiali sprawę spokojnie. Mieliśmy okazję oglądać ekwipunek jednego z bardzo przystojnych oficerów, jakiegoś Ober, zapewne arystokraty, który jechał na front ciężko przestraszony, pierwszy raz. Był przerażony mrozami, chociaż puchowy, błękitny śpiwór nie powinien był go peszyć. Po południu gdzieś wyszedł, powiedział mamusi, że wróci wieczorem. Moi bracia i ich koledzy zaraz zabrali się do sprawdzania co ma w bagażu, przymierzali jego pasy z kaburami i w ogóle rozdokazywali się, jakby nie było wojny. Mama mało nie zemdlała. Błagała, żeby nie ruszali niczego, że lada chwila może wrócić, ale do moich braci te argumenty nie docierały. Żeby takich rzeczy uniknąć, mama pisała na drzwiach kartkę: „uwaga! tyfus!” i to pomagało. Przynajmniej Niemców nie musieliśmy już nocować.

Nowa wojna szykowała się ewidentnie. Żyliśmy strachem. Na szczęście istniał już kontakt z ojcem, który po wzięciu do niewoli przez Sowietów w nocy z 17 na18 września 1939 roku w okolicach Równego, czy Dubna i po siedmiu tygodniach wożenia po terytorium Rosji (w towarowych wagonach zaplombowanych, na mokrych liściach zamiast jakiegokolwiek posłania) – odnalazł się w Stalagu, w obozie jenieckim w Saksonii, w miejscowości Oschatz między Lipskiem, a Dreznem.

Pierwsza wiadomość – kartka od ojca przyszła w styczniu 1940 r. Równocześnie chyba poszukiwania przez Polski Czerwony Krzyż potwierdziły tę radosną dla nas wiadomość. Ojciec żyje.

Dość regularnie kursowały listy na specjalnych, podwójnych składanych blankietach, ocenzurowane przez władze niemieckie, wojskowe. Na połowie pisał tata, na drugiej odpowiadała mama. Istniały też takie karty otwarte. Zachowało się tej naszej wspólnej korespondencji ponad tysiąc dwieście, z sześciu lat wojny, z przerwami, gdyż poczta zamierała. O tym chciałabym bardziej szczegółowo napisać przy okazji powrotu ojca z niewoli.

Mama posługiwała się swoistym językiem – szyfrem. Pisała po polsku, bo było wolno, ale pewne wiadomości przemycała w taki sposób, że tylko ojciec mógł zrozumieć. Wiosną 1941 r. atmosfera AK zmieniała się z tygodnia na tydzień, że wszyscy oczekiwali nie wiedząc jednak dokładnie, co się stanie. Byliśmy w najbardziej niebezpiecznym miejscu. W prostej linii parę kilometrów od Bugu i przestrzeń otwarta. Nie mieliśmy dokąd uciekać. Czekaliśmy więc na to, co się stanie.

22 czerwca pamiętnego roku nikt nie położył się spać. Sąsiedzi przenieśli się do rodzin, gdzie uważali, że będzie bezpieczniej. Pusto wokół i tylko my sami w naszym mieszkaniu na pierwszym piętrze, wgapieni w weneckie okno, podnieceni oczekiwaniem. Noc czuwania i zachwytu. Bezchmurne niebo zaczyna świtać. Coraz jest jaśnie, pierwszy brzask. Trzecia nad ranem. Nagle niebo zapełniło się płomienistymi kulami, które zakreślają parabolę i spadają na ziemię wołyńską wydając głuchy, mocny pomruk. Wybuchy już seryjne, najpierw coraz mocniejsze, potem jakby słabsze i z większej odległości. Patrzyliśmy na to zjawisko z takim niemym podziwem, że o strachu nikt z nas nie myślał. Widok wspaniały! Punkt obserwacyjny najlepszy z najlepszych. Trwało to cztery godziny.

Nie było odwetu. Sowieci zaskoczeni, a może celowo, puścili Niemców w głąb. A ci szli i szli bez oporu. Gdyby dali odwet, byłoby po nas.

Zrobiła się cisza, a mama siadła do pisania listu do ojca, do Oschatz używając takich słów:

> *…to, co miało być, już przeszło, dzisiaj w nocy. Jest siódma rano, spokój i wszystko*

dobrze…

Ten spokój był jednak pozorny i na krótko. Efektem niemieckiej inwazji na ZSRR był wielki niepokój i wzmożony ruch taborów wojskowych, które z Zamościa, przez Hrubieszów, dokładnie przed naszym oknem przesuwały się na wschód. Kolumny samochodów z wojskiem, czołgi, działa pancerne, kuchnie polowe i cały transport potrzebny wojsku. Moi bracia, jak to chłopcy, przyglądali się z zainteresowaniem, może nawet z podziwem. Tego jeszcze nie widzieli w żadnej encyklopedii i na żadnym znaczku pocztowym. Julek siedział ciągle w oknie i liczył. Od czasu do czasu wykrzykiwał: *naliczyłem sześćdziesiąt, ale one jeszcze jadą.* I jechały.

Nie było już granicy na Bugu. Ożyły kontakty ludności cywilnej z obu stron. Kwitł przede wszystkim handel wymienny. Na wygon, gdzie było dużo miejsca dla ciężarowych samochodów, przyjeżdżały zagrabione ze sklepów towary takie, jak kołdry, koce. Kupowała je ludność za pieniądze niemieckie, okupacyjne lub wymieniając za żywność i bimber.

Nazwa „wygon” pewnie wzięła się stąd, że część nieużytków pokryta zieloną trawą i chwastami m.in. ptasim rdestem i gęsiówką, służyła do wypasu niezliczonych stad gęsi należących do właścicieli domków jednorodzinnych, rozsiadłych półkolem. Miało to typowo wiejski charakter, malowniczy i archaiczny. Niektóre domy kryła strzecha ze słomy, przed wejściami ogródki mieniły się barwnością różnych kwiatów. Słoneczniki i malwy dominowały wysokością i pięknie odbijały kolory na białym tle ściany. Ten zaciszny zakątek, zamienił się w grząskie, błotne targowisko.

Ela – moja siostra Elżbieta z Fabijańskich Świdzińska, nasz psychiczny filar podczas okupacji

Druga część Pobereżan nadawała się tylko do zjeżdżania na sankach. Duże, lejowate, kacze doły, mogły być pozostałością po pierwszej wojnie światowej, lub wyrobiskami gliny. Dziwne to było ukształtowanie. Dzisiaj teren ten jest zabudowany. Od Zamościa jadąc widzi się po obu stronach ciągłą zabudowę długiej, kilkukilometrowej ulicy. Dom, w którym przyszło nam przetrwać okupację i pierwszy rok, stoi i ma się dobrze. Jest zadbany, balkon otrzymał dekoracyjną balustradę i dzięki niej dalej wyróżnia się urodą, zgrabnej, przedwojennej architektury.

Od początku okupacji ludność cywilna była w różny sposób zastraszana. Łapano znienacka młodzież gimnazjalną, która nosiła obowiązujące przed wojną mundurki, a zimą płaszcze. Guziki u nich stały się powodem represji. Żandarmi prowadzili takiego chłopaka do punktu w urzędzie niemieckim, gdzie w brutalny sposób obcinano błyszczące guziki wraz z tkaniną, niszcząc w ten sposób jedyne okrycie.

Spotkało to Witka. Byłam z nim wtedy i nie opuściłam biegnąc szybko za nim, eskortowanym przez dwóch Niemców. Szarpał się, więc go boleśnie przytrzymywali, jak boleśnie, świadczyły o tym pozostawione sińce. Po ceremonii obcięcia guzików – puścili. Ale ja już zdążyłam mamę zawiadomić i poszła po niego.

Dziewczęta nosiły granatowe berety ze znaczkami: książka i kaganek oświaty – odznaki noszone przez uczennice obowiązkowo. Na lewych rękawach mundurka dziewczęta i chłopcy nosili tarcze z numerem szkoły. Pole niebieskie oznaczało – gimnazjum, pole czerwone – liceum. Te emblematy wyróżniały i identyfikowały uczniów pod kątem szkoły – nie miały, żadnej wymowy ani politycznej, ani patriotycznej. Ale okupantom tak przeszkadzały, że zdzierali je na ulicach, budząc lęk niewinnej młodzieży. Nikt nie wiedział, o co właściwie chodzi. Zapewne chodziło o zastraszanie i podporządkowanie ludności cywilnej. Szefem Gestapo był sadysta, powszechnie zwany Blondynkiem. Aresztowania, represje, znęcanie się coraz gwałtowniejsze, coraz bardziej okrutne spowodowały akcję partyzantów i likwidację tego okrutnika. Odwetem za karę były jeszcze większe aresztowania i znęcanie się nad zakładnikami.

Codziennie wywieszano listy, kilkunastu lub kilkudziesięciu osób rozstrzelanych, listy zakładników, którzy nigdy nie wrócili do rodzin, codziennie były jakieś obwieszczenia represjonujące ludność cywilną. Wreszcie w 1942 r. zaczął się pogrom ludności żydowskiej. W Hrubieszowie było bardzo dużo Żydów. W zgodzie żyły obok siebie trzy nacje wyznające inną religię. Katolicy mieli swój kościół parafialny, dawniej klasztorny pod wezwaniem św. Mikołaja, a na tej samej ulicy *vis -a- vis* prawosławni chodzili do pięknej cerkwi ufundowanej przez rząd carski w 1873 r. Żydzi wyznania mojżeszowego mieli swoją synagogę w centrum, niemal przy rynku. Mieszkali wszędzie, chyba tylko na przedmieściu Pobereżany ich nie było, gdyż ta część miała charakter swoisty, bardziej rolniczy niż miejski. Życie handlowe, oprócz ciągu sklepów na schodach, u wjazdu do Rynku (za okupacji wielobranżowy, najelegantszy magazyn Gajzera) – skupiało się na placu targowym i w uliczce wąziutkiej z ciągiem jatek zwanych „sutki”. Właściwie mieściły się tam różne sklepiki i kolonialne i rybne.

Przypominały one handlowe dzielnice miast w południowych krajach Europy. Drzwi obok drzwi, żeliwne wzmocnione kutymi sztabami, zamknięte na kłódki. Nie miały witryn. Towar rozwieszano na hakach po otwarciu. Wylewał się na zewnątrz

obfitością i różnorodnością. Można było kupić tam wszystko: od landrynek, lizaków, czekolady, korzeni, bakalii do koszyków, szczotek i wyrobów blacharskich.

Malowniczość tego zaułka niepowtarzalnego, jedynego w swoim rodzaju, uzupełniały postaci kupców żydowskich w czerwonych chałatach i myckach na rozwichrzonych włosach. Przeważnie byli to ludzie starsi. Kobiety – przekupki siedziały w innym miejscu, gdzie było kilka drewnianych straganów. Rozkładały tam worki pełne rozmaitych, kasz, grochu, fasoli, suszu owocowego, obok leżały warkocze cebuli i czosnku. Tę różnorodność płodów urodzajnej ziemi hrubieszowskiej uzupełniały ogromne słoje z ogórkami kiszonymi i… pijawkami. Zawsze mnie okropnie brzydziły. Obrazu tego nie zmieniła nawet zimowa pora roku, ponieważ na zimno była rada. Kupcowe handlowały na siedząco, pod spódnicą chowały żeliwne sagany pełne rozżarzonych węgli drzewnych, przynoszonych z piekarni i z takim „piecykiem" wytrzymywały nawet kilkustopniowy mróz. Na głowach miały rude peruki, ręce chroniły rękawiczkami, które nie miały końców palców, żeby łatwiej było liczyć pieniądze.

Zapamiętałam także specyficzną woń, jakby swąd z węgielków mieszał się z zapachem śledzi w beczkach, zamorskich korzeni, rodzinnego makagigi i waniliowych karmelków. Dziwne, jak zapach może wtopić się w obraz i wtedy jedno z drugim jest już nierozłączne.

Kres temu folklorowi miasteczka położyli hitlerowcy najpierw tworząc getto, później dokonując zagłady ludności żydowskiej. Stało się to w 1942 roku. Wszystkim wyznawcom Mojżesza kazano się przenieść do dzielnicy zwanej Wójtostwo, która znajduje się po wschodniej stronie, za Huczwą. Opuścili więc swoje domy, według współcześnie wydanych opracowań (Grzegorz Rąkowski, Polska egzotyczna II, wyd. Pruszków 2000, s. 240), w maju i w czerwcu 1942 roku skupiono tam ok. 10 000 Żydów z całego powiatu. Wywożono ich potem do obozu zagłady w Sobiborze. Na hrubieszowskim kirkucie rozstrzelano ok. 500 osób.

Opustoszałe domy w Rynku i okolicy oddano miastu do zagospodarowania. W jednej z kamieniczek zorganizowano szkołę, jeżeli dobrze pamiętam, na cztery klasy na parterze. Tam uczyłam się do końca piątej klasy. Warunki były trudne, salki małe, ciasne, ciemnawe i zimne. Na lekcje religii chodziliśmy do kaplicy grobowej przy

szkolnym kościele św. Stanisława Kostki. Ziąb i wilgoć wyciągały nas na cmentarz. O, jak dobrze było w promieniach słońca pogrzać się pod murem, bodaj przez chwilę i pochrupać prażony groch.

Pewnego dnia na skwerze przed kościołem, zniszczonym kompletnie, pojawiła się ogromna góra mebli, raczej gratów starych i zniszczonych, z pociętymi i wyprutymi materacami, z których wysypywało się końskie włosie, sprężyny i trawa morska. Prócz kanap, stołów, krzeseł, foteli leżały gary, sprzęt kuchenny i na samym szczycie tego stogu może przeznaczonego do podpalenia, znajdowała się beczka drewniana, dość duża. Wyglądała normalnie, jak te w sklepach po śledziach, ale od wewnątrz miała gęsto nabite gwoździe. Mówili, że służyła do spuszczania krwi, aby przyrządzić koszerne jedzenie. Czy to prawda?

Codziennie patrzyliśmy na nią snując naturalnie różne wizje. Trzeba powiedzieć, że chociaż dzieci nie wiedziały co stało się z ludnością żydowską, bały się o swoje rodziny, o nauczycieli, o siebie. Lęk towarzyszył nam każdego dnia, przecież wieści były straszne. Ciągle ginęli ludzie.

Zimą 1943 r. Niemcy przeprowadzili wysiedlenia polskich wsi, na ich miejsce sprowadzając osadników niemieckich z różnych państw europejskich. Działania tej akcji zostały zatrzymane dzięki ruchowi oporu, który w hrubieszowskim był bardzo silny.

Armia Krajowa od końca 1942 r. zaczęła przeprowadzać akcje bojowe w terenie. Nieszczęściem dla Polaków byli nacjonaliści ukraińscy podjudzani przez Niemców. Na tych południowo-wschodnich terenach oni stali się wrogami. W 1943 r., gdy pojawiły się bandy UPA przybywające zza Bugu, nasiliły się mordy polskiej ludności. Przeciwstawili się temu zbrojnie polscy partyzanci. Zaczęły się wzajemne akcje wyniszczające całe wsie, i polskie i ukraińskie. Apogeum tego nastąpiło w marcu 1944 r.

Z naszego okna widzieliśmy codziennie po kilka pożarów. Jasno robiło się w naszym mieszkaniu. Płonęły budynki mieszkalne, zabudowania gospodarcze, stodoły, plony, bydło i cały dobytek. Zabijano bestialsko kobiety i dzieci.

W kwietniu przywieziono Traczuka, polskiego gospodarza, naszego sąsiada, w

którego domu bawiłam się często, bo miał córkę w moim wieku. Żona jego co niedzielę chodziła do kościoła na sumę. Czy był mróz czy słota, wkładała czarne karakułowe futro i tak paradowała przez Pobereżany. Traczuka wraz z innymi gospodarzami wzięto na tak zwany „forszpan” czyli przymusowe roboty transportowe. Musiał stawiać się wyznaczonego dnia, o podanej godzinie i przepracować na rzecz okupanta ileś tam godzin, dniówkę. Zdarzało się to regularnie i nie było niczym podejrzanym. Tak się stało i tym razem, ale po raz ostatni.

Pojechało ich nie wiem, kilkunastu, może mniej, jak zwykle na określone roboty. Nie znam okoliczności, ani szczegółów i nikt o tym dotąd nie napisał, więc zrelacjonuję, co wtedy mówiono i co widziałam. Zwęglony kadłub ciała ludzkiego, brązowy i przypominający kłodę drewna. Nie było rąk ani nóg, ani głowy. Zawinięty w brudną płachtę leżał na podłodze w kuchni. Traczukowa rozpoznała męża po łacie przy zajęciu spodni, którą sama niezbyt starannie przyszyła. Przyciśnięty paskiem skórzanym strzęp ubrania stał się znakiem rozpoznania, identyfikacji. Człowiek bez głowy, nóg i rąk. Spalony w stodole w Masłomęczu. Warstwa ludzi, warstwa słomy i duża stodoła z drewna. Co za pochodnia! Co za głowa to wymyśliła – kto zbrodniarzem, kto katem?

Zginęli zwykli chłopi, rolnicy półmiejscy, półwiejscy. Pojechali do pracy z rozkazu okupanta, nie do walki. Nigdy nie słyszałam aby ktokolwiek później o tym mówił.

Ciśnie się jednak historyczne pytanie: ile było takich stodół, ilu spalono Polaków?

Wioska Gotów w Masłomęczu, skansen

Masłomęcz w województwie hrubieszowskim stał się słynny, ze względu na odkrycia wykopaliskowe sprzed 25 lat. Odkryto tu osadę Gotów z II-IV w. n. e. N. Pojawili się oni 180 lat po Chrystusie i właśnie tu, nad Huczwą zbudowali potężna cywilizację. Znali technikę powlekania metalu innym metalem, budowali piętrowe domy z kanalizacją, znali jedwab. Jedną z tajemnic Gotów jest dziwny rytuał pochówku, z wkładaniem do grobów niekompletnych ciał. Na odkrytym w Masłomęczu cmentarzysku, zdecydowaną większość ciał stanowiły kobiety i dzieci. Archeologowie określili tę pozbawioną męskiej populacji społeczność mianem – „Amazonki z Masłomęcza”.

Wspomnienia Teresy Fabijańskiej-Żurawskiej ukazują się w ostatni czwartek miesiąca.

Poprzednie części wspomnień:

Z rodzinnego albumu. Z duchami w tle.

Z rodzinnego albumu. Stara szkoła.

Historia w karetach zaklęta

Miłość, która przetrwała rozłąkę

Jolanta Łada-Zielke *(Hamburg)*

***

Moi pradziadkowie ze strony mamy pochodzili z Kresów Wschodnich i byli rówieśnikami. Kazimierz Dołęga-Wierzbowski, syn nadzorcy majątku w Jaryczowie, już w wieku szesnastu lat (1901) rozpoczął pracę w Zarządzie Lasów Ordynacji Łańcuckiej Potockich. W styczniu 1914 roku poślubił Józefę z Makolondrów, rodowitą lwowiankę, która ukończyła Szkołę Gospodarczą dla Dziewcząt w Wiedniu. Kiedy wybuchła wojna, został powołany do austriackiego wojska i po „bitwie galicyjskiej" we wrześniu 1914 r. dostał się do niewoli rosyjskiej. W momencie narodzin córki Zofii (listopad 1914) przebywał w Charkowie, a od 1917 roku w Kijowie.

Józefa Wierzbowska przez całą wojnę pracowała jako nauczycielka w jednej z lwowskich szkół. Dzięki studiom w Wiedniu władała biegle językiem niemieckim. Kiedy Lwów zajęli Rosjanie, wprowadzili zakaz używania „języka wrogów", za którego przekroczenie groziły wysokie kary pieniężne. Józefa mówiła na co dzień wyłącznie po polsku. Na fotografiach z tamtego okresu prezentuje się jako przystojna dama o surowym wyrazie twarzy, w jasnej garsonce z długą spódnicą, białej bluzce i kapeluszu w ciemniejszym kolorze. Maleńką Zosię ubierała w białą bluzeczkę z szerokim kołnierzem, dwuwarstwową spódniczkę, rozpinany sweterek i

zgrabne półbuciki. Dziewczynka nosiła też biały kapelusik z rondem wywiniętym do góry i opadające podkolanówki. Tak prezentują się na fotografii wykonanej w zakładzie „Kordian” przy ulicy Łyczakowskiej 9. Na ich wcześniejszym zdjęciu widnieje znak firmowy zakładu fotograficznego „Apollo” i adres – Łyczakowska 10. Czyżby dwa konkurencyjne zakłady fotograficzne obok siebie, czy ten sam, tylko ze zmienioną nazwą i numerem lokalu?

Ślub Józefy i Kazimierza

Babcia Wierzbowska z babcią Zosią

Matka zostawiała Zosię samą w ich mieszkaniu przy ulicy Kochanowskiego, a w ciągu dnia posyłała do niej którąś z uczennic jako opiekunkę. Prawie codziennie pisywała do męża na specjalnych kartkach pocztowych, udostępnianych przez Czerwony Krzyż, najpierw do Charkowa, później do Kijowa. Adres należało wpisywać w dwóch językach, polskim i rosyjskim. Odwrotną stronę, przeznaczoną na korespondencję, wypełniała drobniutkim pismem, żeby na małej powierzchni zmieścić jak najwięcej słów. Nawet kiedy dzisiaj się to czyta, wywołują wstrząsające wrażenie, są bowiem przepełnione niewyobrażalną tęsknotą.

Lwów, dnia 23 października 1916.

Najdroższy, Ukochany mój Kazieńku! Ucieszyłam się niezmiernie wiadomością od Ciebie, czekałam bardzo długo, prawie 2 miesiące, możesz sobie wyobrazić, jak się tem strasznie martwiłam, boć Ty Kazieńku Jedyny jesteś dla mnie wszystkiem, cały świat mnie nie obchodzi, Ciebie Jednego kocham nad życie. Zochna nasza codziennie prosi Bozię o szczęśliwy i jak najprędszy powrót Drogiego naszego Tatusia. Maleństwo swoim szczebiotem rozwesela mnie, bodaj na chwilę zapominam o tem osamotnionem obecnem życiu...

Odpowiedzi od Kazimierza przychodziły nieregularnie, często z paromiesięcznym opóźnieniem. Przebijała z nich troska o zdrowie małżonki i wychowanie córki.

Kijów, 27 marca 1917.

Najdroższa Józio! Już blizko dwa miesiące jak nie mam wiadomości od Ciebie, ostatnią kartkę otrzymałem z 5 stycznia w miesiącu lutym. Ja, chwała Bogu jestem zdrów, mam posadę przy tartaku, zarabiam nieźle. U was zapewne już wiosna, a tu dotychczas jeszcze ciągle zima trzyma. Bardzo tęsknię za Tobą i w ogóle jest mi smutno tembardziej, że jestem sam bez znajomych. O was ciągle myślę, jak tam żyjecie i czy jako tako powodzi wam się. Bardzo Cię proszę, byś się nie denerwowała i żyła spokojnie, czekając cierpliwie końca, z tą mocną nadzieją, że powetujemy straty nasze i urządzimy sobie życie, jakie nam samym podobać się będzie. Ucałowania jak najczulsze zasyłam i Zochę ściskam. Twój na zawsze Kazimierz.

Lwów, dnia 14 kwietnia 1917.

Najdroższy, Ukochany mój Kazieńku! Pismo od Ciebie dodaje mi werwy do pracy, bo to życie moje obecne strasznie smutne i monotonne. Oddałabym połowę życia mego, ażeby Cię móc zobaczyć. Gdyby nie nadzieja, że przecież temu wszystkiemu koniec będzie, to możnaby oszaleć. Zochna jak zwykle zgrabna i fertyczna, ale straszny wisus, usposobienie chłopca. Wkrótce przyślemy Ci naszą fotografię, ale chciałybyśmy mieć Twoją. Całuję Cię i ściskam jak najgoręcej. Józia.

Kijów, 30 czerwca 1917.

Najdroższa Józko! Posyłam ci swoją podobiznę. Fotografowałem się zimą. Dzięki Bogu zdrów jestem. Zasyłam najserdeczniejsze ucałowania.

Kazimierz Wierzbowski w niewol rosyjskiej

Na tej „podobiznie” stoi przystojny mężczyzna z wąsem i w wysokich butach, oparty o coś w rodzaju obudowy kominka. Ale i on miewał momenty załamania.

Najdroższy, ukochany mój Kazieńko! Już trzy lata upłynęło naszej strasznej rozłąki, a jednak mimo że boleję bardzo nad tem, nie tracę nadziei, że przecież i dla nas zajaśnieje horyzont i dzisiaj czuję się więcej spokojniejsza aniżeli na początku. Przykro mi bardzo, gdyż z Twojej korespondencji skonstatowałam, że Ty Najukochańszy mój Kazieńko jesteś zdenerwowany w najwyższym stopniu i

zaczynasz nawet tracić ochotę do życia. Proszę Cię, odpędź te przykre myśli, nie poddawaj się tej depresji duchowej, myśl zawsze o tem, że i ja również muszę cierpieć, a jednak znoszę wszystko w imię miłości bezgranicznej dla Ciebie i dziecka. A zatem Mężuniu mój jedyny uspokój się i proś Boga o zdrowie. My również z Zosieńką modlimy się o Twój szczęśliwy powrót…

Kiedy Zosia miała dwa lata, pojawiła się możliwość spotkania z Kazimierzem w Kijowie, na co Józefa otrzymała specjalne zezwolenie. Pojechały tam pociągiem w wagonie trzeciej klasy, w strasznym ścisku. Dziewczynka usadowiła się na twardej, drewnianej ławce. Matka przez chwilę podróżowała na stojąco, aż w końcu wzięła małą na kolana.

– Bądź grzeczna i siedź cicho – przykazała jej – jedziemy do taty, on jest w niewoli u Moskala.

Zosia była ciekawskim i trochę niesfornym dzieckiem, jednak na swój sposób zrozumiała powagę sytuacji. Siedziała więc poważna, skupiona, od czasu do czasu grożąc sama sobie paluszkiem i powtarzając cichutko: „Tata woli kala, tata woli kala…”

Pobyt obu pań Wierzbowskich w Kijowie trwał kilka dni. Po burzliwych powitaniach cała rodzina wybrała się na spacer po ulicach miasta. Rozdzieleni małżonkowie nie mogli się sobą nacieszyć. Zosię całkowicie absorbowało poznawanie świata. Na jednej z wystaw sklepowych spostrzegła konia na biegunach i zaczęła nudzić rodziców, żeby jej go kupili. Jej prośby stawały się coraz bardziej natarczywe. Wtedy dostała pierwszego klapsa od ojca. A kiedy byli już niedaleko domu, w którym Kazimierz miał kwaterę, zapragnęła nagle przejechać się tramwajem.

– Ale my już prawie jesteśmy w domu – próbował tłumaczyć ojciec.

Dziewczynka upierała się jednak przy swoim. Rodzice weszli z nią do jakiejś bramy i znów dostała parę razy po pupie.

– I co, chcesz jeszcze jechać tramwajem? – zapytał Kazimierz.

– Nie – odburknęła.

Po tej krótkiej wizycie matka z córką wsiadły do pociągu w miejscowości Popielna, aby wyruszyć z powrotem do Lwowa.

Parę miesięcy później wybuchła w Rosji rewolucja. Niektórzy jeńcy carscy zostali uwolnieni, ale Kazimierza nie wypuszczono. Jesienią 1919 roku napisał do żony długi list.

> *Najukochańsza Józko! Zapewne musiałaś pisać do mnie, lecz ja już siedemnaście miesięcy nie mam od Was najmniejszej wiadomości. Listy wysyłałem do Ciebie i Mamci, za pośrednictwem różnych ludzi, którzy przedzierali się przez front, lecz czy Ci doręczono? W 1919 r. w lipcu chciałem przedostać się do Galicji, w tym celu wyjechałem do Mińskiej Guberni. Front polski był nawet bardzo blisko, lecz niestety, nie tylko, że nie udało się moje przedsięwzięcie, lecz straciłem na to morze pieniędzy. Przeżyłem okropne czasy o głodzie i chłodzie, ustawiczne przewroty polityczne, a w rezultacie utrzymanie się władzy bolszewickiej na Ukrainie przez długi stosunkowo okres czasu. Co ludzie wycierpieli, tego opisać się nie da. Nic zarobić nie można było, ratowało mnie to, że miałem rzeczy i trochę oszczędzonych pieniędzy i jako tako egzystowałem. Drożyzna była tu wprost nie do opisania. Wprawdzie otrzymywałem 1000 rubli miesięcznie, lecz cóż z tego, kiedy chleb kosztował od 80 do 100 rubli za funt.*
>
> *Pomimo tak ciężkich warunków, umiałem sobie jako tako radzić, a nawet coś nie coś zaoszczędzić, by z próżnemi rękoma nie wracać do domu i mieć od czego nowe życie zacząć. Na nieszczęście zachorowałem tego roku na tyfus plamisty, chorobę przechodziłem bardzo ciężko, wyzdrowienie moje zawdzięczam opiece, jaką miałem. Leżałem bez przytomności, jednym słowem było ze mną bardzo źle. Dzięki temu, że serce u mnie zdrowe, chorobę przetrzymałem. Cały czas leczenia kosztował mnie 50 tysięcy rubli, a zatem wszystkie swoje oszczędności i część rzeczy na to przeznaczyłem i wyekspensowałem się kompletnie, w danej chwili nie mam nawet za co wyjechać. Jest to dla mnie o tyle bolesne, że nadzieje moje spełzły na niczem. Myślałem, że mając trochę gotówki, po powrocie będę mógł nasze życie jako tako znośnie urządzić.*
>
> *Obecnie przychodzę do zdrowia, lecz jestem jeszcze bardzo osłabiony. Proponują mi tu korzystną posadę w banku, lecz ja już nie mam sił dłużej tu siedzieć,*

tembardziej, że dla Ciebie strona to obca i tęskniłabyś, a zresztą nie chcę się tu już niczego dorabiać – za ten zarobek nie mogłem w swoim czasie wyjechać i tyle wycierpiałem. Na razie komunikacji do Lwowa nie ma, chodzą tylko pociągi wojenne. Jak tylko będzie możliwość, bezzwłocznie wyjadę.

Tak jestem ciekaw, co tam słychać, jak żyjesz, zapewne Zosia rozpuszczona. Marzę o tym, by móc już raz znaleźć się wśród Was i chociażby mi Bóg dał kilka lat spokojnie żyć z Tobą.

Wybacz najdroższa Józio, że list może nie bardzo czuły, lecz jestem jeszcze tak słaby i swojem położeniem przelękniony, że doprawdy nie jestem w stanie zdobyć się na na list więcej przyjemny. List posyłam okazją, również nie jestem pewny, czy dojdzie. Zasyłam jak najczulsze ucałowania, Zosię ściskam serdecznie. Twój uważnie Cię kochający Kazimierz

Kijów 16/V/1920.

Zdaje się, że nie tak prędko będę mógł wyjechać, ponieważ władze wojskowe robią wielkie trudności z wydawaniem przepustek.

Korespondencja wojenna

Kijów 27. marca 1917.

Najdroższa Jonie! Już blisko dwa miesiące jak nie mam wiadomości od ciebie, ostatnią kartkę otrzymałam z 5 stycznia w miesiącu lutym. Ja chwała Bogu jestem zdrów, mam pracę przy kartach, zarabiam nie źle. U was zapewne już wiosna, a tu trzeba was prosić jeszcze ciągle zimna. Bardzo tęsknię za Tobą i w ogóle jestem strasznie zmartwiona, że jesteśmy tak bez wiadomości. O was ciągle myślę jak tam czy jesz i czy jako było powodzi tam się. Bardzo bym chciała mieć do ciebie radę, i wy to wszystko Kajusia czekając cierpliwie Kowca z tą mocną nadzieją, że pomimo tej straty mamy i my dzieci sobie życie jakie nam ten [illegible] potrzebne się będzie. Nastawienie jak dojechałam szczęśliwie i zdrowa. Mój ma [illegible]

Lwów dnia 14. kwietnia 1917

Najdroższy Ukochany mój Kamieńko! Od tygodnia prawdziwie mam pewną wiadomości, ujemnie dwoje kartek datowane 26 stycznia, pismo od Ciebie dodaje mi wiary do pracy, bo to życie moje obecne strasznie smutne i monotonne. Oddałabym połowę życia mego, żeby się móc pokazać tak mi strasznie smutno za tobą drogi mój Kamieńko, gdyby nie marnieje, że prócz tęsknoty wszystkiemi kosmic byłoby to inaczej. My z Kamieńko trzymamy się dobrze, Kochana jak zwykle zgrabna i fortyzna ale strasznie wiszna, wysprzątnie chałpę. Wkrótce przyślemy Ci mamę fotografię ale chciałybyśmy mieć Twoją całą Ciebie i zniknam jak najprędzej Ci

▪

Kazimierz powrócił do rodziny dopiero po wojnie polsko-bolszewickiej, przedzierając się przez niespokojne tereny powstałej właśnie Ukraińskiej Republiki Ludowej, w towarzystwie przewodnika, który co jakiś czas przystawał i kazał sobie dodatkowo płacić. Zupełnie jak maszynista z powieści „Przedwiośnie” Stefana Żeromskiego, który zatrzymywał pociąg jadący do Polski i zarządzał „remontik”. Kazimierz rad nierad płacił, aż w końcu wydał wszystko, co miał. Wtedy złapał kompana za gardło, potrząsnął nim trochę, pogroził, a ten już bez sprzeciwu i jakichkolwiek żądań poprowadził go w kierunku granicy. Kiedy Kazimierz stanął na progu lwowskiego mieszkania, miał ze sobą niewielki tobołek, a w nim między innymi fotografię pięknej, jasnowłosej kobiety.

– To tamtejsza – tłumaczył żonie i córce – chciała, żebym z nią został. Mówiłem jej, że

mam w Polsce żonę i dziecko, a ona na to: *napliwat* na nich!

W pamiątkach po pradziadku znalazłam jeszcze inną fotografię przystojnej pani, z dedykacją na odwrocie, napisaną w języku rosyjskim: – *Mojemu wielce drogiemu przyjacielowi Kazmierzowi Edmundowiczowi od Loliczki*. A więc rzeczywiście miał go kto pielęgnować w czasie choroby, jak pisał w liście. Ale najważniejsze, że wrócił.

***

Rodzina Wierzbowskich przeniosła się do miejscowości Wydrze w powiecie żołyńskim, gdzie Kazimierz objął posadę Zarządcy Lasów Ordynacji Łańcuckiej hrabiego Alfreda Potockiego, którą to funkcję sprawował oficjalnie do 1933 roku. Jak opisuje Stanisław Kłos, obecnie teren Wydrza to rezerwat przyrody – *obejmujący wierzchowinę morenowego wzniesienia, porośniętą lasem mieszanym, z dominującym udziałem starodrzewu bukowego o charakterze buczyny karpackiej, stanowiącego osobliwy relikt w Kotlinie Sandomierskiej. Tu też znajdują się skupiska modrzewia polskiego.**[1]***

Leśniczówka, stanowiąca wówczas służbowe mieszkanie Kazimierza i jego rodziny, położona jest w północno-zachodniej części wsi, niedaleko odgałęzienia drogi w kierunku Julina.[2] Pałac myśliwski hrabiego Potockiego w Julinie podlegał też Wierzbowskiemu jako zarządcy.[3]

Józefa, nazywana w naszej rodzinie „babcią Wierzbowską", która objawiała się w listach do Kazimierza jako kochająca i czuła małżonka, w stosunku do innych członków rodziny była surowa i despotyczna. Zawsze mówiła to, co myślała, a to nie przysparzało jej przyjaciół. Raz złożyła w kuratorium oświaty skargę na jednego z nauczycieli Zosi, który potem z zemsty próbował utrącić ją na egzaminie maturalnym. Kazimierz Wierzbowski był sprawiedliwy, ale i wymagający. Raz w gospodarstwie na Wydrzu, jedna z krów – Cyranka, zachorowała na zapalenie wymienia, bo służąca nie wydoiła jej dokładnie. Kazmierz zapowiedział dziewczynie, że ją wypoliczkuje, jeśli sytuacja powtórzy się z inną krową.

Zofia często przebywała poza domem, ale „nie krzywdowała sobie", jak sama mówiła. Miała dobry kontakt z rodzicami i pisywała do nich długie listy. Ukończyła Żeńskie Seminarium Nauczycielskie Sióstr Boromeuszek w Łańcucie (obecnie Zespół Szkół

Nr 1 im. Janusza Korczaka). Kiedy po maturze przebywała wraz z matką w Zakopanem, przechodziły ulicą obok tamtejszej, renomowanej szkoły hotelarskiej. Przystanęły przed budynkiem i zajrzały do środka przez oszklone drzwi. Nagle Józefa wykrzyknęła z radosnym zdumieniem:

– Tatarzanka!

Dyrektorka placówki, panna Tatarzanka, która właśnie pojawiła się w hallu, była szkolną koleżanką Józefy z Wiednia. Dzięki temu niespodziewanemu spotkaniu Zofia, wprawdzie z opóźnieniem o jeden semestr, ale „wskoczyła" na pierwszy rok i ukończyła tę szkołę. Poznała tu swoją przyszłą szwagierkę, Eleonorę Annę Balicką. Kolejnym etapem jej edukacji była Szkoła Kosmetyczna doktora Rychwickiego w Krakowie, z której zachowało się świadectwo oraz zeszyt z notatkami. Znajdują się tam przepisy, między innymi jak sporządzić krem do cery suchej i jak działają różne substancje. Egzamin końcowy składał się z trzech przedmiotów: fizjologia i przemiana materii z endokrynologią, dermatologia ogólna oraz ćwiczenia praktyczne. Po ukończeniu szkoły Zofia miała zacząć praktykę w jednym z krakowskich zakładów kosmetycznych, ale wybuch II wojny światowej pokrzyżował jej plany i wróciła na Rzeszowszczyznę. To doświadczenie nastawiło ją sceptycznie do robienia planów na przyszłość. Uważała, że nie warto, bo w życiu pojawiają się czynniki od nas niezależne, które wszystko zmieniają.

Dom Wierzbowskich w Łańcucie, lata 30.

W 1938 roku Wierzbowscy ukończyli budowę domu w Łańcucie. Stanął na tak zwanym spadzie, czyli od strony ulicy Tkackiej wyglądał na dwukondygnacyjny, zaś od strony podwórza na jednokondygnacyjny. Tam, gdzie z Tkackiej widać było normalne okna w pokojach na parterze, z drugiej strony znajdowały się pomieszczenia piwniczne z małymi okienkami u góry. Zamieszkane było głównie piętro, które składało się z czterech dużych pokoi oraz kuchni i łazienki. Każde pomieszczenie miało osobne wejście, a wszystkie były dodatkowo połączone wewnętrznymi drzwiami.

Babcia Zosia nie „bałakała” typowo po lwowsku, z charakterystycznym, śpiewnym akcentem, aczkolwiek używała niektórych słów i zwrotów, wywodzących się z tamtejszej gwary inteligenckiej. Na garnek z długą rączką mówiła „rynka”, na młodą

cebulkę z nacią „trybulka”, sernik nazywała „serowcem”, choinkę bożonarodzeniową „drzewkiem”, a krawcową „krawczynią”. Swego czasu spodobało mi się słówko „cypundrak”. Babcia nazwała tak kiedyś moją sympatię z czasów szkolnych. Prawdopodobnie też podobałam się temu chłopakowi, ale nie potrafił mi tego okazać, bojąc się wyśmiania przez kolegów.

– Daj sobie spokój z tym cypundrakiem – poradziła mi.

Po paru miesiącach, kiedy miałam już nowy obiekt zainteresowania, zapytałam babcię, kto to jest ten „cypundrak”.

– To takie „ni to, ni sio” – wyjaśniła.

Innymi słowy człowiek chwiejny, nie wiedzący czego chce, zachowujący się raz tak, raz inaczej. W czasach młodości mojej babci i prababci było takich zdecydowanie mniej, ale na pewno istnieli, bo skąd wzięłaby się ta urocza nazwa? W każdym razie mój pradziadek, który mimo siedmiu lat rozłąki „nie napliwał” na pozostawione w Polsce żonę i córkę, nie okazał się „cypundrakiem”.

***

„Załubkami na żeniaczkę”

Podczas okupacji hitlerowskiej Kazimierz Wierzbowski został pacjentem doktora Władysława Balickiego, swojego przyszłego zięcia. Potrzebował stałej opieki lekarskiej, ponieważ skutki przebytego w niewoli rosyjskiej tyfusu poważnie zaciążyły na jego zdrowiu. Mocne serce, dzięki któremu wyszedł z choroby, bardzo się osłabiło. Doktor zalecił mu paromiesięczną kurację w Krynicy, dokąd Kazimierz udał się w lecie 1941 roku. Alfred Hrabia Potocki napisał do niego pod koniec lipca z Julina. Miał ładne, ale rozwlekłe pismo. W jednej linijce mieściły się zaledwie cztery wyrazy, więc trzy serdeczne zdania zajęły mu całą stronę.

> *Szanowny Panie! Julin bardzo pięknie wygląda i serdecznie mnie witał dorocznym zwyczajem, tylko smutno było bez Pana! Mam nadzieję, że kuracya i wypoczynek Panu dobrze robią i że Pan wnet do nas powróci. Oczekujemy Pana wszyscy! Łączę wyrazy prawdziwego poważania. Potocki.*

Julin 25 lipca 1941

Szanowny Panie!

Julin bardzo pięknie wygląda i serdecznie mnie witał, dowiedziałem się, tylko smutno było bez Pana! mam nadzieję, że kuracja i wypoczynek Panu dobre zrobią i że Pan wnet dzisiaj powróci oczekujemy Pana wszyscy!

Łączę wyrazy prawdziwego poważania

Potocki

Alfred hr Potocki

Leczenie sanatoryjne mojego pradziadka nie przyniosło oczekiwanych rezultatów. Najlepsze ośrodki, z największymi wygodami były wówczas „nur für Deutsche”, a Polakom pozostawiono domy wypoczynkowe drugiej, lub trzeciej kategorii, leżące na wzniesieniach. Kazimierz mieszkał właśnie w jednym z tych wyżej położonych i podczas każdej wędrówki bardzo się męczył. Kiedy wrócił do domu, Józefa natychmiast napisała list do doktora.

> *Krynica wywarła jak najfatalniejszy wpływ na stan zdrowia mojego Męża. Przede wszystkiem zrujnował sobie zupełnie żołądek i z powodu braku apetytu opadł zupełnie na siłach. Obecnie stan jego zdrowia jest zupełnie niezadowalniający, wprawdzie chwilami trochę się polepsza, ale bardzo często brak mu tchu, przy tym*

stale cierpi na bezsenność. Najbardziej niepokojącym objawem jest to, że ujawniła się prócz tego niedyspozycja wątroby i nerek, odczuwa dotkliwy ból przy głębszym oddychaniu. Jest więc obawa, czy nie ma coś wspólnego z płucami. Wobec tego prosimy bardzo wielce Szan. Pana Doktora o jak najrychlejsze przybycie.

Władysław był częstym gościem w leśniczówce na Wydrzu. Zofia zorientowała się, że wpadła mu w oko, choć początkowo nie miało to dla niej większego znaczenia. Zimą Władysław przyjeżdżał ze swojej rodzinnej wsi Woli Dalszej saniami zwanymi „załubki", którymi powoził jego brat Emil; oficjalnie na wizytę do chorego, ale Emil śmiał się, że wozi Władka „na żeniaczkę". Załubki były przechowywane w stodole w gospodarstwie Balickich na Woli, ale już dawno rozsypały się ze starości.

Pewnego wrześniowego popołudnia 1942 roku obecność doktora Balickiego ocaliła rodzinę Wierzbowskich przed sześcioma ukraińskimi bandytami, którzy wtargnęli do leśniczówki podając się za żołnierzy Armii Krajowej. Na Rzeszowszczyźnie wprawdzie nie odnotowano przypadków grasowania band UPA, ale mogły to być niedobitki większych oddziałów partyzanckich, które zostały najpierw rozbite, a potem połączyły się w mniejsze grupy i plądrowały okoliczne miejscowości.

Jeden z intruzów, prawdopodobnie przywódca, oznajmił, że potrzebują żywności i ubrań, po czym zaczęli bezceremonialnie buszować po domu i wynosić co cenniejsze rzeczy.

– Jacy z was żołnierze?! – zawołała oburzona Józefa. – Bandyci jesteście i tyle!

Wtedy dwóch zbirów przystawiło jej i Zofii pistolety do skroni. W tym momencie z sąsiedniego pokoju wyszedł Władysław, który właśnie skończył badać Kazimierza, z zawieszonym na szyi stetoskopem.

– *Eto wracz!* – zawołał na jego widok jeden z Ukraińców, a w tonie jego głosu słychać było szacunek. Bandyci nie zrobili nikomu krzywdy, zadowalając się rabunkiem. Po ich odejściu Wierzbowscy sporządzili dla posterunku żandarmerii w Łańcucie protokół z zajścia, w którym wymienili wszystkie zabrane rzeczy: piętnaście koszul męskich, osiem damskich, bieliznę, trzy męskie garnitury, dwie pary sportowych spodni, jedną damską garsonkę, gabardynowy płaszcz męski, skórzaną

czapkę, materiał na garnitur, dwa wełniane koce, trzy pary butów – męskich i damskich, dwie sukienki, czternaście par skarpetek, siedem par pończoch, dwadzieścia chusteczek do nosa, dwa obrusy, cztery prześcieradła, poszwy na kołdry i poduszki, cztery zegary, trzy pary nożyczek, scyzoryk, golarkę i nóż do golenia, trzy teczki skórzane, jedną torbę myśliwską, szkło powiększające i gotówkę w wysokości 5200 złotych. Protokół sporządzono na maszynie, a przy każdym zrabowanym przedmiocie wpisano jego wartość. Posterunkowy o nazwisku Lisowski, który przyjął protokół, poskreślał ołówkiem niektóre sumy i wprowadził inne, o trzy razy mniejszej wartości. Tym samym ołówkiem sporządził na osobnym arkuszu papieru notatkę w języku niemieckim:

> *Potwierdza się, że dnia 20. września 1942 r. na Wydrzu koło Żołynii, sześciu uzbrojonych bandytów dokonało napadu rabunkowego na leśniczówkę. Wtedy, na szkodę Zarządcy Lasów Kazimierza Wierzbowskiego, zostały zrabowane wyżej wymienione rzeczy. Dochodzenie, prowadzone przez miejscowy posterunek policji, jak dotąd nie przyniosło rezultatów.*

***

Śmierć na wygnaniu

Mimo że dom w Łańcucie został już wybudowany i urządzony, Wierzbowskich ciągnęło stale na Wydrze, być może ze względu na trudności z zaopatrzeniem w żywność w czasie wojny. Nie było tam jednak zbyt bezpiecznie, na co najlepszym dowodem jest wyżej opisany napad Ukraińców. Dopiero po tym incydencie i z powodu pogarszającego się stanu zdrowia Kazimierza, rodzina Zofii zdecydowała przenieść się na stałe do Łańcuta. Ale nie było im dane cieszyć się długo własnym kątem.

Ich dom spodobał się jednemu z miejscowych *volksdeutschów*, który zapragnął odnająć jego część, ale Wierzbowscy nie zgodzili się na to. Wówczas on opowiedział „komu trzeba”, jaka to atrakcyjna posiadłość znajduje się przy Webenstrasse, czyli ulicy Tkackiej. Wkrótce potem dom odwiedziło kilku żołnierzy niemieckich, którzy poprosili, żeby oprowadzić ich po obejściu. Wchodzili do pokojów i oglądali każde pomieszczenie, komentując *hübsch, alles hübsch*[4]. Potem pożegnali i się i wyszli.

Następnego dnia Wierzbowscy dostali nakaz natychmiastowej eksmisji. Ich posesja miała odtąd służyć za kwaterę dla niemieckiego oficera. Dokładnie w wigilię 1942 roku cała rodzina przeniosła się do mieszkania państwa Adamczaków, przy sąsiedniej ulicy Jana Cetnarskiego, (zwanej też Browarną), gdzie od tamtej pory gnieździła się w ciasnym pokoiku. Moja mama (córka Zofii) do dziś nie może zrozumieć, dlaczego nie poprosili hrabiego Potockiego o interwencję, bo on na pewno ująłby się za rodziną zaufanego pracownika. W tym przymusowym schronieniu, 8 sierpnia 1943 roku, w wieku pięćdziesięciu siedmiu lat zmarł Kazimierz. Był to ogromny cios, zwłaszcza dla Józefy. Całkowicie oddawała się rozpaczy, więc córka sama musiała zająć się formalnościami pogrzebowymi. Z jednej strony trudno się dziwić, bo Józefa rozstała się z małżonkiem po raz drugi, po wspólnie przeżytych dwudziestu dwóch latach.

Narzeczeni – Zofia Wierzbowska i Władysław Balicki

Ów *volksdeutsch*, za którego sprawą wyrzucono Wierzbowskich z ich posiadłości, upatrzył sobie Zofię jako kolejną ofiarę swoich machinacji. Chciał, żeby wysłano ją do Niemiec na roboty, co się nie udało, ponieważ miała pracę w Łańcucie i to aż w trzech miejscach: od 1940 roku jako pielęgniarka w lokalnym oddziale PCK, a także

w ogrodach hrabiego Potockiego. W okresie narzeczeństwa Władysław wydał jej zaświadczenie, że zatrudnia ją w swoim gabinecie przy ulicy Konopnickiej jako „Bürohilfe”, czyli „pomoc biurową”. Ślub wzięli 12 lutego 1944 roku, w kościele parafialnym w Wysokiej Łańcuckiej, na pięć i pół miesiąca przed wyzwoleniem tych terenów, co nastąpiło 29 lipca. W dokumentach rodzinnych przechowało się kilka listów gratulacyjnych od krewnych i przyjaciół, którzy nie mogli przybyć na uroczystość z powodu wojennych trudności z komunikacją.

Przed opuszczeniem Łańcuta hitlerowcy podłożyli w piwnicy domu przy ul. Tkackiej bombę zegarową, która na szczęście została w porę rozbrojona. Młodzi państwo Baliccy wraz z Józefą powrócili do domu przy ulicy Tkackiej w 1945 roku. Władysław Balicki stał się wkrótce znaną postacią w całym regionie jako lekarz i społecznik, który pielęgnował lokalną kulturę. Jednym z jego osiągnięć było uratowanie przed rozbiórką łańcuckiej synagogi w 1955 roku. Ale to już zupełnie inna historia.

Przypisy:

[1] Stanisław Kłos, Łańcut i okolice, PUW „Roksana”, Krosno 1998, s. 7 i 71

[2] Por. Tamże

[3] Por. Zbigniew Pelc, Mój Łańcut, wyd. Techgraf – Łańcut Podzwierzyniec, 1997, s. 279

[4] Niem.: ładnie, wszystko ładne.

Fotografie pochodzą z archiwum rodzinnego autorki.

Z rodzinnego albumu. Z duchami w tle.

Rynek w Hrubieszowie na dawnej pocztówce

Teresa Fabijańska-Żurawska *(Łańcut)*

Wszędzie było bardzo niebezpiecznie. Na wsiach, zwłaszcza w dworach polskich każda noc była niepewna, pełna lęku. Przychodzili zbrojni partyzanci po prowiant, ale nigdy nie było wiadomo, którzy na ten raz – swoi czy obcy, akowcy czy upowcy. Wezmą dobrowolnie czy siłą i czy z życiem zostawią?

Rodziny z dziećmi poprzenosiły się do miasteczka, zajmując puste domy po Żydach. Lila z dziećmi też się przeniosła. Wacek wynajął dla nich pół drewnianego domu, bardzo sympatycznego, przy ulicy Chełmskiej, koło starej szkoły. Oba zabytki stoją do dzisiaj. Sam dzielnie wytrzymywał. Jako właściciel majątku ziemskiego Wiszniów pod Hrubieszowem, był znakomitym gospodarzem i fachowcem. Dzięki niemu i my

od czasu do czasu otrzymywaliśmy coś z dóbr. Bardzo dbał o rodzinę i szalenie kochał swoje śliczne dzieci – Ijunię (Marylę) i Eniego (Andrzeja).

Na naszym przedmieściu pojawiło się kilka rodzin przybyłych z Poznania i z Warszawy. Natomiast wyjechali Wojtysiakowie, właściciele domu, w którym mieszkaliśmy, chyba dlatego, że on był granatowym policjantem. Do ich mieszkania przyjechała gromadka dzieci państwa Andrzeja i Marii Komornickich i syn państwa Szułdrzyńskich z opiekunką, starszą, nobliwą panią. Przywieziono ich końmi z odległego o 17 km majątku Mircze. Najstarsza Enia – moja rówieśnica i czterech chłopców: Iko, Tunio, Boba i Zyg – w kolejności urodzenia – dostarczali mnie i bratu Julkowi wielu przeżyć i wspomnień.

Ot, chociażby niezwykle obchodzony dzień św. Mikołaja. Przyznam, że z taką tradycją, jeśli to tradycja, nie spotkałam się nigdy i nigdzie. Każde dziecko otrzymało jako prezent coś w rodzaju przebrania na głowę, charakteryzującego jego wadę, np.

Boba dostał ośle uszy, pięknie wykonane z papieru i bibułki, zapewne przez guwernantkę. Iko – długi język przyczepiany co brody, a Tunio – knebel. Co dostała Enia, co my oboje z bratem? – nie pomnę. Oczywiście wszystkie dzieci dostały woreczki z pierniczkami, Mikołajem i słodyczami domowej, dworskiej kuchni. Byliśmy uszczęśliwieni i pamiętamy to zdarzenie do dzisiaj.

W końcu sierpnia, w piękne lato 1943 r. przysłano po nas konie z Mircza. Pojechaliśmy na proszony obiad do dworu. Pewnie była to jakaś szczególna okazja, ale nie wiem jaka. Może imieniny pani Marii Komornickiej w Matki Bożej Częstochowskiej? – Podjechaliśmy pod duży, piętrowy budynek, który nie przypominał w niczym polskiego dworu, raczej miejską kamienicę. Powiedziała mi Enia, że stary dwór spalił się chyba podczas I wojny światowej, a to był budynek administracji majątku. Mieszkała tam, mimo niebezpieczeństwa, pani Kisielnicka, matka pani Komornickiej i ona była główną gospodynią, podejmującą małych gości. Zasiedliśmy przy dużym stole w obszernej jadalni na pierwszym piętrze. Otaczał nas ogród, park ze starymi drzewami, które zawsze uwielbiałam. W jadalni panował przyjemny chłodek, otwarte były szeroko okna. Wnoszono potrawy zaczynając podawanie ode mnie. Nie bardzo zdawałam sobie sprawę z tego co to znaczy i przy deserze popełniłam „faux pas”, nakładając ogromną porcję kremu, który w wojennej rzeczywiści był czymś nadzwyczajnym i mogło go zabraknąć dla innych. Julek

słusznie był oburzony i zawstydzony moim brzydkim zachowaniem. W domu naskarżył na mnie do mamy i powiedział, że przyniosłam mu wstyd i więcej ze mną nigdy już nie pojedzie. I nie pojechał, bo nie było okazji. Czułam się okropnie. Jaka egoistka! To była nauczka na całe życie.

***

Dla wypełnienia czasu wieczorami, w okropnie długie, zimne zimy i aby mieć kontakt z ludźmi urządzało się „herbatki" bez herbaty. Piło się napar z suszonych skórek jabłkowych, wiecznie zalegających na kuchennej płycie, które dawały bardzo przyjemny zapach w całym domu. Nie daj boże, gdy się spaliły!

Gości częstowano niezmiennie sałatką jarzynową z dużą ilością gotowanych ziemniaków, buraczków ćwikłowych, marchewki i małej fasoli. Miała różowawy kolor bardziej lub mniej mocny, w zależności od ilości śmietany. Niektóre panie dawały ogórek kiszony, zdecydowanie zaostrzający smak. Luksusem okupacyjnym był fasolowy tort, polska specjalność od Warszawy po Hrubieszów. Robiło się też „cukierki" na czas świąteczny z mielonych płatków owsianych, masła, cukru i jeśli było kakao, obtaczano w tym specjale. Formowane na dłoni kuleczki wielkości orzechów włoskich, należało potrzymać na zimnie. Czegoż to ludzie nie wymyślili, żeby życie przybliżyć do normalności!? „Herbatki" sprzyjały kontaktom, zdobywało się wiadomości z frontu, czytało się podziemne gazetki. Były też wieczory poezji, seanse spirytystyczne, czasem potańcówki przy patefonie i przedwojennych płytach. Chociaż w naszym domu była gromadka młodzieży, mama nigdy na tańce nie pozwoliła uważając, że na taką rozrywkę czas nie jest odpowiedni. Jednak pomogła Jasiowi Piątkowskiemu zorganizować bal karnawałowy w Czumowie, na który pojechała Ela.

Mama Eleonora de Schmieden-Kowalska w czasach panieńskich na balu w Czernichowie w stroju Greczynki

Przygotowania do tego balu nad balami odbywały się wieczorami u nas i trwały dość długo ponieważ robiło się ręcznie śliczne, kolorowe, pracowite kotyliony. Czy dzisiejsza młodzież wie co to takiego? – Z lśniących wstążek zakupionych u Gajzera,

z mini figurek gipsowych czy artystycznych główek wykonywało się identyczną parę ozdób różnych kształtów i pomysłów artystycznych, które wybierały panie osobno, panowie osobno. Los szczęścia lub pech łączył dwa identyczne kotyliony w parę, która obowiązkowo musiała przetańczyć „kotylionowego walca”, a mogła i resztę tańców przetańczyć razem, jeśli się poszczęściło. Pamiętajmy jednak, że do dobrych manier wychowania towarzyskiego należało zatańczyć chociaż jeden taniec z każdą panną. Nie było więc „skrobiących pietruszkę”, nie było też zwyczaju, aby panny tańczyły ze sobą lub indywidualnie. Te zwyczaje wzięły się już grubo po wojnie, chyba z braku partnerów. Kotyliony były atrakcją pełną emocji, zwłaszcza w momencie odkrywania losowego partnera i pamiątką, która zostawała po balu wraz ze wspomnieniami. Eli kotylion, bardzo piękny, długo plątał się w szufladzie, a przedstawiał diabełka z widłami na czerwono-czarnej wstążkowej rozecie.

W przeddzień balu smażono u nas pączki tzn. robiła je moja mama, a my niby pomagaliśmy. Ileż to było emocji z powodu ciasta, które najpierw nie chciało rosnąć, a potem rosło zbyt szybko. Nie wolno było chodzić, ruszać się, a nawet głośno mówić, bo to wszystko miało wpływ na udane lub nie udane, drożdżowe ciasto. Udało się wspaniale, choć lukier robiony w Czumowie zgrzytał pod zębami z powodu nowej donicy (makutry), która puściła rdzawą mączkę.

Dzisiaj myślę, że te przygotowania dały nam więcej radości niż sam bal w pałacu, pełnym niemieckiego wojska. Tyle, że granica na Bugu zimą 1942 r. już nie istniała. A Jaś zaraz potem wyjechał do Lwowa na Politechnikę. Latem pojechała do Czumowa ciocia Milusia z Warszawy i my z Julkiem po kolei spędzaliśmy tam wakacje. Niestety, nie były już takie, jak te sprzed wojny.

Po tym sławetnym balu, zaczął u nas bywać kolega Jasia – Henryk Podwiński zwany Bocianem (może to był pseudonim partyzancki?). Pojawienie się tego drągala, blisko dwumetrowego, ożywiło na jakiś czas życie towarzyskie w naszym domu. Pełen humoru, dowcipnych pomysłów zabawiał nie tylko młodzież, np. wykorzystując swoją sylwetkę do chińskich cieni, które prezentował za pomocą szczotki do zamiatania podłogi, kapelusza i płaszcza. Czarne, okupacyjne zasłony na okna doskonale spełniały rolę ekranu, a przy migotliwym, nikłym świetle lampy naftowej, odbijająca się sylwetka dawała złudzenie ruchu. Heniek grał tajemniczego mężczyznę, który rósł w oczach, kapelusz balansował na kiju, a ramiona unosiła szczotka, oczywiście

niewidzialna pod płaszczem. Gibał się, pochylał, rósł i malał karykaturalnie, a my pękaliśmy ze śmiechu. Od czasu, gdy wstąpił do AK słuch po nim zaginął Poszedł do lasu przygotowywać się do walki o Polskę. Podczaj tej wojny wyginęła nasza najwspanialsza młodzież. Niepowetowane straty!

W tym czasie, w środku wojny, cała nasza czwórka uczyła się. To, mimo wszystko, były najspokojniejsze dla nas lata (1942-43) i kontakt z ojcem był nieprzerwany. Tata przysyłał nam swoje paczki z PCK (Portugalskiego Czerwonego Krzyża), w których bywało kakao, czekolada, kawa, chałwa, jakieś szprotki czy sardynki, coś z ubrania wojskowego np. ciepłe skarpety dla chłopców czy uniwersalne podkoszulki. Część tych prowiantów mama sprzedawała, aby uzyskać grosz na opłaty i opał, część zostawiała dla nas.

Kiedy było w miarę normalnie, mama starała się o kontakty towarzyskie dla starszego rodzeństwa. Przychodzili do nas z wizytą państwo Iwaszkiewiczowie z Poznania. Pani w wieku mamy, czyli średnim, bardzo miła, inteligentna i rozmowna oraz dwoje dorosłych prawie dzieci: starsza Jasia i młodszy nieco, bardzo przystojny Romek. Wtedy po podwieczorkowej herbatce, przygotowywało się okrągły stolik bez gwoździ, papier wycięty na kształt stolika z amerykanki do bilansów dla księgowych, na którym w krąg wypisane były ołówkiem wszystkie litery alfabetu, cyfry od 0-9, chyba rzymskie i dwa słowa na średnicy koła: „tak” i „nie”. Do tego konieczny był talerzyk średniej wielkości z zaznaczoną wyraziście strzałką.

Dorosłe osoby, przeważnie w liczbie 6-7 siadały ciasno wokół stolika trzymając opuszki palców na odwróconym talerzyku. Zewnętrzne palce musiały stykać się ze sobą. Wybierano medium i zaczynał się seans spirytystyczny czyli wywoływanie duchów. Niesamowita atmosfera skupienia, kompletna cisza, prawie ciemno, tylko dwie świeczki choinkowe, konieczne do odczytywania odpowiedzi. Twarze pełne napięcia, ledwie rozpoznawalne. Ja w kącie na kufrze pełna strachu, ale i ciekawości.

– Duchu, duchu, przybądź. – Duchu, ducha, czy jesteś? – talerzyk zaczyna wyprawiać brewerie, jeździ po całym papierze, wreszcie trafia na słowo „tak”. **–** Duchu, duchu, kim jesteś? – „P I Ł S U D S K I”. – Duchu marszałka powiedz nam, kiedy skończy się wojna?

I tu następowała konsternacja, bo nigdy odpowiedzi nie były zadowalające, a wręcz

później posądzano, że ktoś za mocno ciągnął za talerzyk. No i tak pewnie było.

Zadawano kolejne pytania śledzono odpowiedź, która wcale nie była ani jednoznaczna, ani łatwa do poskładania z poszczególnych liter. Czasem wszystkie odpowiedzi były tak zagmatwane, tak niezrozumiałe, że mama pojawiała się z zakamarków kuchni, bo nigdy nie brała w tym czynnego udziału i przerywała posiedzenie proponując np. kisielek. Oznaczało to: koniec seansu.

Była zima 1942 r. Wszyscy pragnęli zakończenia wojny i to jak najszybciej, na najbliższą wiosnę. Pamiętam dobrze, bo szok był niesamowity – duch wskazał „maj 1945″. Nikt nie uwierzył.

Za sprawą ducha dowiedzieliśmy się także kiedy wróci ojciec. Strzałka powoli, ale bardzo zdecydowanie i wyraźnie wskazała „14 czerwca 1945”. Znowu nie uwierzyliśmy, a nawet była dyskusja czy prawidłowo odczytano, czy to nie matactwo jakieś z talerzykiem. Było to przecież niemożliwe. Znowu szok, bo data była precyzyjna! – I cóż powiedzieć? – męczyliśmy duchy dla własnej niecierpliwości i z ciekawości, a i tak nie dawaliśmy wiary. Słusznie kościół katolicki zakazuje. Nie wolno tego czynić. Pierwszy to był i ostatni raz.

Jaś (Jan) Piątkowski ur. 1922 r.syn Józefa i Marii z de Schmieden-Kowalskich. Po śmierci matki był odpowiedzialny za gospodarkę Czumowa.

Lila (Maria Piątkowska). To jej ślub w Hrubieszowie w 1938 r. z Wacławem Banaszkiewiczem. Byli właścicielami Wiszniowa.

Jan Piątkowski miał w pałacu duży pokój, gosposię i czasem tam bywał. Studiował we Lwowie na Politechnice i został konstruktorem statków. Całe życie przepracował w stoczni gdańskiej, jako inżynier-konstruktor. Lila Piątkowska i Wacłąw Banaszkiewicz mieli pięcioro dzieci: Maryla – Maria (Ijunia), Andrzej (Eni), Zosia (zmarła w dzieciństwie), Maria i Jan. Żyje troje: Maryla w Bielsku-Białej, Andrzej w Gliwicach i Jan w Krakowie.
***

W małym Hrubieszowie świetnie pracowała kilkunastoosobowa grupa pracowników Polskiego Czerwonego Krzyża (PCK) ze wspominanym doktorem medycyny Władysławem Kuczewskim z Kryłowa. Eli zadaniem m.in. była opieka nad polskimi jeńcami przebywającymi zarówno w Oflagach, jak i w Stalagach niemieckich. Przychodziły listy z adresami konkretnych osób i tym zgłoszonym wysyłało się imienne paczki żywnościowe, zwłaszcza przed świętami katolickimi.

Organizowana akcja musiała mieć charakter konspiracyjny i angażować nie tylko osoby pewne i zaufane, ale i chętne do działalności charytatywnej. W skład każdej paczki wchodziły cwibaki, takie wysokokaloryczne suchary, które piekła prywatna piekarnia na ul. Kilińskiego (dzisiaj budynek ten już nie istnieje). Ciasto z białej, pszennej mąki zawierało dużo jaj, było dość pulchne i słodkawe. Formowało się najpierw ogromny placek, potem kroiło w prostokąty wielkości standardowych sucharów, pieczonych dla wojska. Żeby pulchne ciasto nie puchło, trzeba było je równymi rządkami nakłuwać widelcem. Cała nasza rodzina chodziła pomagać do piekarzy przygotowywać je. Prace szły taśmowo i w ścisłej kolejności, partiami na bieżąco i do pieca. Moim zadaniem było nakłuwanie. Właziłam po stołku na wysoki, piekarski stół i dziurkowałam. Jednak Julek robił to dużo szybciej. I dobrze, bo tych sucharów było dużo. Piekarnia piekła je całą noc. A my gdzieś tak, przed północą wracaliśmy chyłkiem do domu uważając, żeby nie natknąć się na patrol niemieckich żandarmów.

Drugi raz w życiu przeżyłam godzinę policyjną narzuconą Polakom przez generałów: Jaruzelskiego i Kiszczaka. Ta ostatnia, w stosunku do okupacyjnej była groteską, tyle, że bardzo irytującą. W kolejnych wspomnieniach opowiem moje silne przeżycie

pierwszego dnia stanu wojennego z grudnia 1984 roku.

***

W okresie zimowych ferii (były tylko jedne dwutygodniowe od 23 grudnia do 7 stycznia) przygotowywaliśmy konspiracyjne „Jasełka”. Teksty pisane specjalnie, z aluzjami i podtekstami politycznymi, służyły pokrzepieniu serc. Schodziliśmy się na próby do domu prywatnego przy ul. Szpitalnej. Dom pamiętam, nazwisk nigdy nie znałam. Przedstawienia odbywały się w największym modernistycznym pokoju, w przedwojennej willi. Mieściło się tam około 20 osób i improwizowana scena.

Oboje z Julkiem umieliśmy nasze role i wiersze, ale przy próbach opanowaliśmy wszystkie inne teksty i we dwójkę potrafiliśmy odstawić całe przedstawienie. Do dzisiaj plączą się mi po głowie jakieś fragmenty. Dla przykładu: mała satyra na niemiecką biurokrację. Toczy się rozmowa: *…wiesz, gdzie drzewo wożą chłopy? – urzędników tam z pół kopy. Każdy jest potrzebny wielce. Jeden kłania się butelce, a gdy ujrzy na dnie pusto, bierze się za rybołóstwo. A gdy pogoda zawiedzie, siadł przed biurkiem po obiedzie i… najmilsza, najdroższa pani Wandeczko, pani moją jedyną sympatią.* A mój wierszyk zaczynał się od słów: *czy myślicie, że w lesie choinki nie będzie?*

Aktorką byłam marną, tylko wrodzona sumienność rekompensowała niedostatki talentu i pewnie tylko dlatego powierzano mi jakieś rólki. Zaowocowało to tym, że w dwa lata później sama zorganizowałam teatr podwórkowy u sąsiadów przy ul. Zamojskiej.

Układałam teksty nigdy nie napisane, uczyłam wymowy i gestów, żądałam dyscypliny, a wręcz posłuszeństwa, dobierałam role i aktorów, urządzałam scenę i widownię oraz zapraszałam widzów.

TERESA-ZOFIA FABIJAŃSKA-ŻURAWSKA, emerytowany starszy kustosz Muzeum-Zamku w Łańcucie, jest historykiem sztuki ze specjalnością w dziedzinie pojazdów konnych.

Wspomnienia Teresy Fabijańskiej-Żurawskiej ukazują się w ostatni czwartek

miesiąca.

Poprzednie części wspomnień:

Z rodzinnego albumu. Stara szkoła.

Z rodzinnego albumu. Wojna – ucieczka za Bug.

Z rodzinnego albumu. Hrubieszów.

Polskie siedziby rodzinne. Czumów.

Historia w karetach zaklęta

Z rodzinnego albumu. Stara szkoła.

Moja najbliższa rodzina (beze mnie) – tata, Julek, mama, Ela, w czerwonej sukience, później opisywanej, Jadzia Kosińska, Witek, ciocia Janka – siostra taty

Teresa Fabijańska-Żurawska *(Łańcut)*

Muszę wrócić do 1939 roku, gdy po wkroczeniu okupantów niemieckich, została bardzo szybko zorganizowana ich administracja. W listopadzie pozwolono na otwarcie szkoły podstawowej, wówczas zwanej powszechna. Obowiązywał nowy program nauczania, bez historii, bez geografii, bez literatury polskiej, z surowym zakazem korzystania z podręczników szkolnych wydanych przed wojną. Inspekcie kontrolne odbywały się często i znienacka. Nie jednego nauczyciela aresztowano, a może i zgładzono. Cóż więc pozostało? Ja, głupstwo, dopiero zaczynałam. Uczyłam się pisać, czytać, rachować, rysować i śpiewać z panem Feliksem Szczudłowskim, przezywanym przez dzieci Felu-Kapelu. Przygrywał nam na skrzypcach i czynił to z wielką miłością. Biedny, chory był na gruźlicę. Moje starsze rodzeństwo, a zwłaszcza Ela i Witek będący w wieku gimnazjalnym, pozbawieni zostali w ogóle możliwości uczenia się. W małym miasteczku, jakim był wówczas Hrubieszów, trudno było o prywatne lekcje. Tajne komplety zaistniały dopiero później. Julek zaliczał jeszcze podstawówkę.

Chodziliśmy do tzw. „starej szkoły”, którą był sympatyczny, drewniany, parterowy

budynek dawnej plebani prawosławnej. Osiem dużych klas i przybudówka kuchenna, od frontu drewniany, otwarty ganek z ławeczkami i duże boisko ze skarpą, po której zimą zjeżdżało się na czym kto mógł. W dole założono przed wojną skwer z młodymi jeszcze roślinami i tędy szło się do kościoła szkolnego pod wezwaniem św. Stanisława Kostki, patrona młodzieży.

Starą szkołę pokochałam od pierwszego dnia i miło wspominam do dzisiaj. Pierwszą moją panią była urocza, młoda osoba, którą uwielbiałam i patrzyłam w jej ładną, kolorową buzię, jak w obrazek święty. Niestety nie pamiętam ani jej imienia, ani nazwiska.

Uczyliśmy się na raty. Klasy młodsze przychodziły później i kończyły, gdy było już ciemno na jesieni i zimą. Nie pamiętam, by starsze rodzeństwo opiekowało się mną w tym trudnym, początkowym okresie. Raczej lekcji i zegara pilnował Oleś Du Chateau, starszy o dwa lata, przynajmniej jego pamiętam. Należałam raczej do zdyscyplinowanych z natury i chyba ambitnych i pracowitych. Problemów z nauką nie było, najwyższe noty z góry na dół. Katechetą był ksiądz Edward Dolecki, działacz konspiracyjny AK. Ofiarował swoje radio marki „ECHO" do nasłuchu Polskiej Służbie Informacyjnej BIP, co było wielką pomocą w uzyskiwaniu wiadomości. Dowiedziałam się o tym dużo później z książki – pracy zbiorowej p.t. „Łuny nad Huczwą i Bugiem", wyd. w Zamościu w 1992 r. Lekcje religii były wielką radością, a umiejętność zwracania się do dzieci była wielkim darem bożym. Ksiądz Dolecki przygotowywał nas do pierwszej Spowiedzi i Komunii Świętej. Pamiętam lekcje w kaplicy grobowej przy kościele św. Stanisława, gdzie wilgoć i ziąb przenikliwy wyłaził z grubych murów, nawet w ciepłe dni wiosenne. Czasem uczyliśmy się na cmentarzu przykościelnym, niegdyś grzebalnym. Kościół zbudowany pod koniec XVIII w. jako unicki pod wezwaniem św. Mikołaja został w XIX w. zamieniony przez władze carskie na cerkiew prawosławną, później rekoncyliowany i wreszcie stał się katolickim kościołem szkolnym, dzisiaj cieszący się cudownym obrazem Matki Bożej Sokalskiej.

O tym, że cmentarz był grzebalny i dużo starszy od kościoła świadczyć mogą sterczące w osuwisku od strony Huczwy kości, którymi chłopcy rzucali w siebie, jak śnieżkami. Wiedziały o tym dzieci z naszej szkoły, stojącej po sąsiedzku. Miejsce usytuowania kościoła miało od wieków charakter szczególny, ze względu na

ukształtowanie wysokiego brzegu rzeki. Był to najwyższy teren wyspy, na której powstał Hrubieszów, pierwotnie zwany Rubieszowem.

A więc niezwykła szkoła, w niezwykłym miejscu, z niezwykłą atmosferą, jakby fluidy czasu zawisły właśnie tu, zakumulowane, zawirowane wartkim nurtem Huczwy. Ale szkoła to przede wszystkim żyjący ludzie z całym swym bogactwem różnorodności charakterów, talentów, osobowości. Pierwsze koleżanki – przyjaciółki na następne lata, pierwsze porównania zdolności, umiejętności manualnych, kontrowersje myślenia, zachowań i reakcji, pierwsze zdziwienia i rozczarowania, ale i zachwyty. W drugiej klasie uczyliśmy się w przybudówce kuchennej. Była nieforemna, bez osi, z jednym małym oknem i drzwiami na wylot. Siedzieliśmy w ławkach drewnianych o pulpitowej konstrukcji blatu, u którego w prostej szczytowej znajdowały się dwie okrągłe dziury na kałamarze. Pod pulpitem półka na teczkę. Ławki były dwuosobowe, ale zsunięte po trzy w rzędzie. Tutaj siedziała zdecydowana większość dziewczynek. Pod oknem pojedynczy rząd dla chłopców. Zazdrościłyśmy im większej swobody. Zanim ta szósta przedarła się przez cały rząd, upływało trochę czasu. Czasem czułyśmy się zaklinowane.

Mama Eleonora Fabijańska wącha różę

Z całej klasy najbardziej podobała mi się Hania Skopińska, pierwsza przyjaciółka, której jestem wierna do dziś. Hania miała wtedy dwa grube, pszeniczne warkocze, jasnoróżową buzię i śliczne białe zęby, które tak ładnie było widać w uśmiechu. Zimą nosiła robiony na drutach golf z melanżu biało-seledynowego, w którym buzia jej

jeszcze bardziej piękniała. Poza tym Hania imponowała mi talentem. Szybko i bardzo pomysłowo rysowała papierowe lalki w różnych wielkościach i na każde zamówienie. Lalki nosiły kolorowe stroje, bereciki, kokardy, miały warkocze i wszystko, co mogło się podobać. Hania uczyła się grać na fortepianie i w ogóle była dziewczynką z dobrego domu. Z Hanią wolno mi było się przyjaźnić i bywać w jej domu. Państwo Skopińscy przybyli do Hrubieszowa chyba zza Buga. Początkowo zamieszkali w małym, typowo hrubieszowskim drewnianym domu z werandką od ulicy zwanej Podzamczem, blisko mostu. Szalowany deskami i malowany olejna farbą na kolor szaro-niebieski, stapiał się z zielenią sadu i ogródka od strony Huczwy. Jedne imieniny Hani odbyły się właśnie tam. Co podano w ten czas wojenny, nie pamiętam, chyba było kakao – zdobyty rarytas. Każde dziecko miało swoje miejsce, przeznaczone przez gospodarzy, jak nakazywał dawny, dworski obyczaj. Przed talerzem, na stole leżała karteczka z imieniem i nazwiskiem, ozdobiona przez Hanię kredkami i żywym kwiatkiem. Dotąd przechowuje ten skarb w szufladzie. Imieniny te zostały uwiecznione amatorskim zdjęciem, na którym dominuje ogromny, biały motyl nad głową solenizantki.

Piszę o tym, bo jest to świadectwo głębokich tradycji obyczajowych polskiej inteligencji i świadomość potrzeby kultywowania piękna w życiu codziennym, mimo szarzyzny i niepewności jutra. Myślę, że takie chwile pomogły nam przetrwać najgorsze, bo zawsze było odniesienie do czegoś wzniosłego. Ogromnie dużo zawdzięczam Hani rodzicom. Nie krępowali nas swoją obecnością, a umiejętnie, z dala pozwalali nam na niecodzienne zabawy. Miałyśmy swoją pocztę, pisywałyśmy listy zaszyfrowane naszym, wyłącznym, jedynym językiem.

Trzecią papużką była córka lekarza, doktora Cieślaka, Marysia, o niesamowitych ogromnych zielonych oczach i wspaniałych warkoczach. Była błyskotliwa, oczytana (tak, tak, nawet w drugiej klasie szkoły podstawowej), inteligentna i grająca na fortepianie przy każdej okazji. Trzymałyśmy się we trzy do końca wojny. Potem obie ich rodziny wyjechały do Zamościa, my dopiero rok później.

Państwo Cieślakowie mieszkali w drewnianym domu, blisko cerkwi. Już nie istnieje ani ten dom, ani szaro-niebieski z gankiem. Brak szacunku dla obiektów zabytkowych w czasach PRL zniszczył charakter dawnego Hrubieszowa, który miał szansę stać się atrakcją turystyczną tego pięknego, bogatego w wydarzenia

historyczne, regionu.

Doktorostwo Cieślakowie z Marysią i Markiem opuścili Hrubieszów, gdy okupacja jeszcze trwała. Państwo Skopińscy przenieśli się do bardziej nowoczesnego domu, też drewnianego, ale z piętrem, gdzie mieli spore mieszkanie składające się z dużych trzech pokoi i kuchni, ze wspólną dużą łazienką. To już były luksusy. W tym domu bawiłyśmy się częściej niż u Marysi. Mimo okupacji chodziłam do szkoły regularnie, rok po roku. Z wyjątkiem ospy wietrznej i jakiś gryp, nie chorowałam. Rekordy bił u nas Julek, chorował na szkarlatynę, na tyfus, wiecznie na anginy. Witek natomiast dwa razy zaliczył kilkutygodniowe leżenie w szpitalu, raz na ślepą kiszkę (wyrostek robaczkowy), a raz miał złamana nogę przez własną nadmierną ruchliwość. W ogóle Witek naszej mamie przysparzał najwięcej emocji. Przepadał nie wiadomo gdzie i nie wiadomo jakie miał towarzystwo. Ale to on nas właściwie utrzymywał. Najpierw handlując nićmi przywożonymi z Warszawy, później legalnie, koncesyjnie prowadząc kiosk z papierosami, a potem pracował w magazynach jabłek. Potrafił upiec chleb, zdobyć mąkę, opał, naftę do lampy i wszystko co było potrzebne do przetrwania. Od początku wojny, od powrotu z naszej wędrówki na wschód, Witek, mający zaledwie 14 lat, poczuł się odpowiedzialny za całą rodzinę, nie tylko najbliższą.

Całe szczęście, że otwarto średnią szkołę, tzw. handlówkę, na potrzeby niemieckiej administracji, przygotowującej do pracy w biurach i w sklepach. Uczyli ci sami profesorowie, co przed wojną w gimnazjum. W ciągu dwóch lat uczyli się prowadzenia księgowości, umiejętności stenografowania, towaroznawstwa, języka niemieckiego. Ela i Witek skończyli tę szkołę. Ela później dokształcała się we własnym zakresie, jednocześnie pracując w biurze Polskiego Czerwonego Krzyża, świetnie działającej placówce, prowadzonej przez doktora Władysława Kuczewskiego, dobroczyńcy tamtych czasów. Wspomniałam wcześniej o jego tragicznej, podstępnej śmierci z rąk „pacjenta”, ukraińskiego nacjonalisty.

Nasza nauka nie była normalna, Niemcy utrudniali, jak tylko mogli. Często trzeba było zmieniać miejsce lekcji. Po zagładzie Żydów, uczyliśmy się w pożydowskich domach prywatnych, zimnych i zdewastowanych. Idąc do szkoły nigdy nie wiedziałam, gdzie będą lekcje, ale zawsze ktoś stał na czatach i dawał nam znać. To była konspiracja. A starsze rodzeństwo nie miało swojego przedwojennego budynku, więc uczyli się nawet w stodole. Jakoś nikt nie narzekał, a dzisiaj mamy co

wspominać.

Lila i mama ze mną w Hrubieszowie na ulicy Staszica (w głebi widać pomnik) w 1938 r. (Eleonora Fabijańska, Teresa Fabijańska, Maria z Piątkowskich Wacławowa Banaszkiewiczowa)

Na wiosnę 1940 roku musieliśmy opuścić nasze mieszkanie w śródmieściu. Z trudem i z pomocą cioci Janki Kosińskiej znalazło się mieszkanie na Poberżanach. Tak nazywało się przedmieście w kierunku Zamościa, a ulica po dziś dzień nosi nazwę Zamojskiej. W piętrowym, nowym domu, jedynym murowanym wówczas w tej okolicy, mieliśmy dwa pokoje z kuchnią. W podwórzu była komórka na węgiel i sławojka. Przetrwaliśmy tutaj do powrotu ojca w 1945 roku.

Mieszkanie było sympatyczne, chociaż dla nas przymałe. Jak zwykle były też plusy, bo okoliczni gospodarze z ich ogrodami i płodami rolnymi pomogli nam przeżyć, ale gdy spojrzę egoistycznie, dla mnie była zbyt duża odległość do szkoły. I droga była niebezpieczna, nie było chodników, ani nawet poboczy. Trzeba było iść szosa, a to była droga wojsk okupacyjnych z Zamościa za Bug. Jeździły okropne czołgi, ciężarówki z żołnierzami niemieckimi, wozy pancerne kolumnami po kilkadziesiąt, bez przerwy, w dzień i w nocy. Najpierw koncentracja na linii Bugu w czerwcu 1941 r., potem stałe, niekończące się przejazdy, a pomiędzy nimi z trudem przedzierały się chłopskie wozy. Droga była szutrowana, ciężki transport powybijał dziury, które zawsze były pełne wody o błotnistej mazi. Ominąć je i nie zostać ochlapanym, to sztuka, której nauczyłam się z czasem. Po obu bokach drogi głębokie rowy zbierały mazistą wodę, ale w czas suchy nauczyłam się po rowach tych skakać, odbijając się zygzakiem. Najgorzej zimą szło się w mróz siarczysty (w te wojenne lata zimy były srogie) pod drutami elektrycznymi. Każde zbliżenie do słupa natężało melodię denerwującą i groźną. Mówiło się wtedy: będzie mróz, bo druty grają. Dobrze się działo, gdy dobry gospodarz pozwalał dzieciom przysiąść na rozłożystych saniach. Wtedy strach mijał i droga szybko zeszła.

Na szczęście zimy miały swój koniec. Poberżany ze swoją zielenią, sadami przy domach, warzywnikami miały niepowtarzalny urok. Ludzie żyli zgodnie, solidarnie i z przyjaźnią. W każdym niemal podwórku miałam koleżanki, starsze lub rówieśniczki, z którymi organizowałam teatr podwórkowy, różne zabawy i wyczyny sportowe, m.in. moda przyszła na szczudła. Robiliśmy je sami z tyczek po fasoli. Nie umiem dzisiaj pojąć, jak mogliśmy na nich chodzić. Niewątpliwie dużą zapamiętaną atrakcją był cyrk. Nie wiem skąd przyjechał i chyba to było po 1941 roku. Rozbito go na wygonie – półokrągłym placu znajdującym się w połowie ulicy Zamojskiej, po lewej stronie idąc od miasta. Kacze doły, może z czasów działań I wojny światowej, świetnie nadawały się do zjazdów na sankach. Boże, co my wtedy wyprawialiśmy! To nie była

normalna jazda, tylko wszystkie możliwe popisy. Ślizgawka na śluzie w czasie okupacji nie funkcjonowała, gdzieżby to było możliwe pod okiem Landrata, który rozgościł się we dworze Du Chateau, jak we własnej rezydencji. Pozostawały więc sanki i ewentualnie podtopione łąki pod lasem na ślizgawkę. Jednak to już nie miało żadnego charakteru, ot pozamarzane mniejsze i większe kałuże. Przed wojną utrzymywane i czyszczone lodowisko ściągało towarzystwo. Przychodziły całe rodziny, młodzież gimnazjalna, która przy muzyce dawała popisy jazdy figurowej i holendrowania. Mama miała śliczny komplet z białej angory: golf, szal, czapka i spódniczka kroju podobnego do tych, ktore nosiły słynne łyżwiarki, np. Sonia Henni. Mama jeździła ładnie, tata jeździł zgrabnie, Ela holendrowała brawurowo trzymając się za ręce z dwoma kolegami. Bracia uczyli się, jeździli szybko wokoło lodowiska. Nawet ja miałam łyżewki na podwójnej płozie i ciągle się przewracałam. Tak już zostało, łyżwy nie były moją miłością.

Wróciłam miłym wspomnieniem do czasów wcześniejszych, ale muszę wrócić do okupacji. Chciałabym, aby moje wnuki zrozumiały i zapamiętały, że nie wolno najeżdżać innego kraju, nie wolno brutalnie włazić w czyjeś życie, nie wolno szydzić z innych ludzi, nie wolno wyśmiewać cudzej świętości, nie wolno zabijać, niszczyć życia.

Najgorszy był początek okupacji, rok 1939 i 1940 z bardzo mroźną zimą oraz 1944 i 1945 już bez wojsk niemieckich, za to z sowieckimi. To lata, które odcisnęły się w pamięci jako lata głodu, chłodu, świerzbu, wszy i odmrożonych kończyn. W latach tych nawet kartek żywnościowych nie było. Przydziały żywności dla ludności pozarolniczej przewidywały kaszę, nie pamiętam jaką, okropną mąkę, ciemną i zanieczyszczoną, marmoladę z buraków, płynną, brązową melasę, wyglądającą jak klej stolarski, zastępującej cukier i dla dzieci pół litra mleka. Po te produkty stawało się w gigantycznych kolejkach na zmianę, bo trzeba było stać kilka godzin, właściwie bez żadnego pożytku, ale zrezygnować się nie dało.

Wielką pomocą do 1944 roku (później już władza ludowa zabrała) był nam Wiszniów Banaszkiewiczów, majątek ziemski niedaleko Hrubieszowa, gdzie mieszkała, córka cioci Niusi – Lila z Piątkowskich z rodziną. Tam na cmentarzu wiejskim pochowany jest mój dziadek ze strony mamy, Anzelm de Schmieden-Kowalski i jego najstarsza córka, ciocia Niusia, związana z Czumowem. Zwłaszcza w okresie, gdy babunia

Mania była z nami, podrzucano nam prawdziwą mąkę, czasami kaszę. Kurczak i jakieś wiktuały spływały nam jak manna z nieba. Mama smażyła nam wtedy ulubione jabłka w cieście i placuszki na miodzie. Można było nawet upiec tort z fasoli, tzw. jaśka. Smakował niczym marcepan. W czasie świątecznym robiło się torty makowe bez cukru, cukierki z płatków owsianych i piło zamiast herbaty napar ze skórek jabłkowych. Tych na Poberżanach nigdy nie brakowało. Przyjmowało się gości sałatką jarzynową zwaną *vinaigrette*. Najwięcej było w niej buraków i kartofli oraz małej fasoli. Smakowała znakomicie.

TERESA-ZOFIA FABIJAŃSKA-ŻURAWSKA, emerytowany starszy kustosz Muzeum-Zamku w Łańcucie, jest historykiem sztuki ze specjalnością w dziedzinie pojazdów konnych.

Wspomnienia Teresy Fabijańskiej-Żurawskiej w 2021 roku będą się ukazywać w ostatni czwartek miesiąca.

Poprzednie części wspomnień:

Z rodzinnego albumu. Wojna – ucieczka za Bug.

Z rodzinnego albumu. Hrubieszów.

Polskie siedziby rodzinne. Czumów.

Historia w karetach zaklęta